

Veijo Meri

Opowieści jednej nocy

Veijo Meri, czołowy prozaik fiński urodził się w 1928 roku w Viipuri (Karelia) w rodzinie o tradycjach wojskowych. W latach 1948—1953 studiował historię na Uniwersytecie w Helsinkach, od roku 1957 do 1959 zajmował się działalnością wydawniczą, wreszcie poświęcił się wyłącznie pisarstwu. Szczególny rozgłos zdobyła wydana w roku 1957 powieść *Historia sznura z manili* (*Manillakóysi*), tłumaczona na wiele języków, w której wykazuje wiele podobieństw z Hańkiem i jego Szwejkiem. Przez całą dotychczasową twórczość Meriego — aczkolwiek nigdy nie ukazywany bezpośrednio — przewija się motyw wojny. Cechuje to i jego późniejsze książki: *Korzenie na wietrze* (*Irralliset*, 1959), *Vuoden 1918 tapahtumat*, 1960 (*Wydarzenia roku 1918*), *Kobietę na zwierciadle* (*Peiliin piirretty nainen*, 1963). Dużym walorem utworów Meriego jest rubaszny, dosadny dowcip. Kpiną i humorem autor stara się rozproszyć groźbę walki i cienie żołnierskiej niedoli. Podobna atmosfera panuje w *Opowieściach jednej nocy*. Siedzimy w niej przeżycia żołnierza II wojny światowej przebywającego na urlopie, a następnie w szpitalu wojskowym. Powieść napisana zwartym, jędrnym językiem pełna jest dowcipnych dygresji i opowieści żołnierskich wplecionych w jej zasadniczy nurt.

Veijo Meri

Opowieści jednej nocy

przełożył z fińskiego

Romuald Wawrzyniak

Wydawnictwo Poznańskie. Poznań. 1983

Tytuł oryginału: Yhden yon tarinat Projekt
okładki: *Piotr Kurka*



?W.S^vM-2>

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Poznańskie,
Poznań 1983

Printed In Poland

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE — POZNAŃ 1983

Wydanie r. Nakład 19.700 + 310 egz. Ark. wyd. 5,2

ark. druk. 4,83. Oddano do składania 7.12.1982 r.

Podpisano do druku 15. 08. 1983 r. Druk ukończono

w listopadzie 1983 r. Papier druk.-mat. ki. V, 71 g 61X86

E-15/547

ZIELONOGÓRSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE ZIELONA
GÓRA, PL. LENINA 12/15, zam. 174

ISBN 83-210-0414-8

I

L

Budynek był od zewnątrz i wewnątrz biały jak śnieg. Dookoła rosły sosny. Oddział chirurgiczny znajdował się na wysokości ich wierzchołków. Czasami, kiedy człowiek leżał w łóżku i próbował zdać sobie sprawę z upływającego czasu, wydawało się, że ktoś zagląda przez okno. Kiedy się w nie nagle spojrzało, ten ktoś zniknął, dopiero potem widać było, że to sosna.

Oddział miał kształt litery T. Na końcu korytarza, jakby na jego przedłużeniu, była duża sala, w której leżeli rekruci. Po lewej stronie znajdowały się małe pokoje dla chorych. Najpierw dwa trzyosobowe dla oficerów w randze kapitana i majora oraz pacjentów ordynatora oddziału opłacających swój pobyt. Za nimi zaczynały się pokoje sześciuosobowe, w których leżeli niżsi oficerowie, urzędnicy i ci rekruci, którzy przeszli tutaj do cywila, bądź byli tak chorzy, że potrzebowali spokoju. Po prawej stronie korytarza mieściła się sala zabiegowa, pralnia, magazyn odzieżowy, kuchnia, jadalnia i jedna izolatka. Przeznaczona była dla przypadków beznadziejnych, ale jeżeli na oddział przychodził generał albo pułkownik, to go tam umieszczano. Ci, którzy wtedy umierali, musieli to robić gdzie indziej. Na przykład żołnierz z arsenału umarł na raka płuc w szóstce. Między łózkami stały parawany. Rasanen, zajmujący sąsiednie łóżko, był jedynym świadkiem jego śmierci. Kiedy poszliśmy go zapytać o szczegóły, łóżko własne zajął nowy pacjent — sierżant z jednostki łączności. Przyproceedziła go Mer ja; powiesiła na łóżku kartę chorego z nazwiskiem, stopniem i jednostką.

— A co też panienkę podrapało? — zapytał porucznik ze sztabu okręgowego. Miał hemoroidy, tak jak i wszyscy na oddziale.

Na odkrytych nadgarstkach Merji widniały

ciemne szramy: trzy wzdłuż i trzy w poprzek.

— Podrapałam się w saunie ostrą szczotką.

— A może to kot?

— Nie mam kota — odparła.

— Nie lubi pani żadnych zwierząt?

— Nie.

— A lubi pani psy.

— Nie.

— Nie lubi pani żadnych zwierząt?

— Nie.

— Tylko chłopców — odpowiedział porucznik.

Merja odwróciła się, uniosła ręce i przez kilka sekund patrzyła na porucznika. Jej palce poruszały się bez przerwy jakby skubiąc niewidzialnego ptaka lub jakby czepiając się wymyślnego sznura, który łączył ją z rzeczywistością. Możliwe, że sama się podrapała.

— Jeden taki umarł wczoraj w nocy na tym łóżku, nazywał się Kurkinem — powiedział Rasanen do sierżanta z oddziału łączności.

Sierżant podniósł się i popatrzył na łóżko.

— Gdzie tu jest palarnia? — zapytał.

— Na końcu korytarza, po prawej stronie — odparł Elomaa.

Merja przekładała kwiaty porucznika do lepszego wazonu. Zwiędnięte wkładała do kieszeni fartucha.

— Nadaje się pani do układania kwiatów — powiedział porucznik.

— Naprawdę? — zapytała.

— Piękna kobieta, piękne zajęcie — odparł porucznik.

Merja o mało nie pękła ze złości. Odwróciła się o dziewięćdziesiąt stopni w prawo, zrobiła długi krok naprzód, podniosła ramiona i opuściła ręce. Pozostała w tej pozycji przez kilka sekund — jak na zdjęciu.

Sierżant z oddziału łączności wyszedł do palarni. Elomaa i Toivonen także. Nie paliłem, ale poszedłem za nimi, żeby posłuchać, o czym mówią.

' lo panu dolega? — zapytał sierżant łącz-Klome.

— Spadłem na głowę z drugiego piętra w ially.

— Nieźle musiał pan rąbnąć.

— Owszem.

— Ale mimo to uszedł pan z życiem.

— Tego to jeszcze nie wiadomo. A co, wydaie panu, że to coś głupiego, jak się wypadnie przez okno? — zapytał Elomaa.

— O ile ktoś nie wyskoczy specjalnie, to raczej nie. Jeżeli zrobi się to niechcący, to na pewno nic przyjemnego.

— Nie, nie. W grę wchodzi tylko tacy, którzy wypadli przez przypadek. Tak jak ja.

— No i jak to jest?

— To jest dopiero przeżycie. Cały czas myślałem o jednej tylko rzeczy.

— No?

— Żeby opowiedzieli mojej biednej matce, jak to naprawdę było. Co prawda piłem przedtem wodę kolon ską, ale to nie miało żadnego znaczenia. W każdym bądź razie to było wspaniałe, jak sen. Wcale się nie bałem, że spadnę na ziemię ani też nie wiedziałem, że lecę głową w dół. Nie zdawałem sobie, co prawda, z tego wszystkiego sprawy, ale czułem, że opadam swobodnie i elegancko, mniej więcej tak, jakby z masztu spływała fińska flaga. Oni przecież nie mogą wiedzieć, co czuję, gdy spadam, myślałem. Gdyby matka mogła się o tym dowiedzieć... Chciałem, żeby jej opowiedzieli we właściwy sposób, nie musiałyby się wtedy wstydzić...

Sierżant poczęstował papierosem, ale Elomaa potrząsnął przecząco głową. W czasie opowieści Toivonen przysunął się bliżej. Sierżant nie mógł przeceż częstować Elomaa nie częstując również jego. To była technika Toivonena.

— A panu co dolega? — zapytał odplacając się w ten sposób za papierosa.

— Ischias.

— Tutaj na pewno się poprawi — pocieszył go Toivonen.

— Nie przyszedłem do szpitala dla przyjemności. Musiałem, bo bolało. Wcześniej wypróbowałem wszystkie znachorskie sposoby.

Chorąży i stary kapitan przyszli na papierosa. Byli jeszcze razem na wschodniej wyprawie wojennej.

— Szła dywizja za dywizją — opowiadał kapitan. — To była wojna. Owszem jedzenia było dosyć i nawet dobre, ale nie było czasu jeść. Nie było innej rady, trzeba było dolewać do żarcia wody i pić to. Cholera...

— A gdzież to było tak ciężko — zapytał sierżant łączności.

— W czterdziestym piątym na Ukrainie — odparł kapitan.

— Nie trzeba jechać aż do Rosji — wtrącił kapral ochrony pogranicza z werbunku. Pamiętam, jak goniliśmy Zieloną Brygadę, to przez dwa tygodnie nie mogliśmy nigdzie zdobyć prowiantu. Szczęście, gdy się na dnie plecaka znalazło stare okruchy chleba. Tak żeśmy się spieszyli, że przez dwa tygodnie nie zdejmowałem butów z nóg.

— Czytałem o tym — powiedział kapitan.

— No i jak się to skończyło? — zapytał chorąży.

— Chyba była w lesie jakaś zwierzyna? — powątpiewał kapitan.

— Nie jesteście oddziałem myśliwych, krzyczeli w dowództwie. Siedzieliśmy na ogonie oddziału rozmiarów mniej więcej kompanii i próbowaliśmy ich zaskoczyć. Nie wolno było strzelać, a zresztą nie widziałem tam żadnej zwierzyny. Spieszyliśmy się jak jasna cholera. Tamci mieli w każdym oddziale kobiety. To one tak działały na tych chłopców. Wychodzą z plecakami z lasu, za nimi baby i walą z pistoletów maszynowych, że aż w lesie dudni. To była ciężka wojna.

— Kobiety w wojsku? — zdziwił się kapitan.

— Miały podobno podnosić morale tych wieprzów — odparł kapral.

— Kobiety zwykle tak robią, dopóki zupełnie nie upadną, mam na myśli ich obyczaj — powiedział kapitan.

— Nie, nie. To nie o takie kobiety chodzi — ciągnął kapral. — One były tak pełne idei, że tylko ochały i achwały. To właśnie one tak judziły tych wieprzów. Próżno było ich prosić o niewolę.

— Kobiety tak łatwo się nie poddają. Boją się stracić cnotę — wtrącił kapitan.

— W końcu złapaliśmy ich w pułapkę na cyplu diabelnie wielkiego jeziora. Te baby śpiewały tam wzniosłe pieśni. Nie mieliśmy jedzenia ani papierosów. Oni za to mieli; kopcili tak, że cały cypel był w dymie. Zresztą mieli wszystko, co niezbędne: papierosy, wódkę i kobiety. Pomyśleliśmy, że trzeba się szybko zabrać za ich plecaki, zanim zdążą je zupełnie wypróżnić. Pewnej nocy spróbowaliśmy zaatakować, ale . było za jasno i nie dali się zaskoczyć. Potem partyzantom zaczęła się kończyć żywność, więc postanowili zrobić samobójczy atak. Przodem puścili kobiety, żeby się nie dostały do niewoli. Zdjęły czapki, tak że łoki falowały im na wietrze, o ile oczywiście włosy takich kobiet mogą falować. Nadchodzą, śpiewają i jednocześnie strzelają z pistoletów maszynowych. Na początku nie chcieliśmy do nich strzelać, no ale kiedy zaczęły pluć, kłąć i walić prosto w nas z tych pistoletów, przestaliśmy być tacy grzeczni. Ani jednej nie wzięliśmy do niewoli. Za nimi nadbiegli mężczyźni krzycząc „hurra”. Nie mieliśmy żadnych oporów, żeby ich zabijać. Jeden schował się w trzcimie, oczywiście, że mężczyzna, bo mężczyźni to tchórze. Mówił nawet po fińsku. Ruszyliśmy do domu. Marsz powrotny był jeszcze cięższy niż poprzednio. Odechciało nam się nawet polowania; to było tak, jak kiedyś u Johanssona. Gdy się zaczął sezon polo-

wań, to na ten czas brał pod ochronę swoją żonę. Nie można się było do niej zbliżyć, ani przeszkadzać. To był straszny marsz. Jeden nawet zwariował i zaczął widzieć nie istniejące domy. Wlazł do jednego takiego i zaczął gadać z gospodarzami. Gospodyni powątpiewała w morale żołnierzy, a on na to, że w naszym oddziale nie ma złodziei, że wszystkie pieniądze można położyć na drodze, a jak nasz oddział przejdzie, to ani jeden penni nie zginie. Myśmy tego domu nie widzieli, ale ten żołnierz był podobno tam w środku. Wymieniał nawet nazwę, ale już nie pamiętam...

Kapitan i chorąży wyszli potrząsając głowami. Zachęciło to kaprala do dalszej opowieści.


2.

W Hyvinkaa miałem dziewczynę, z którą spędzałem poprzednie urlopy. Mieszkała z ojcem i matką w małym mieszkanku: pokój z kuchnią. Urządziliśmy się tak, że ja spałem z jej ojcem w kuchni, a ona z matką w pokoju. Łatwo się domyślać, jakie były kłopoty. Co noc ubierałem się, budziłem starego i mówiłem mu, że muszę iść załatwić pilne sprawy. Kiedy wychodziłem, stary szedł z powrotem spać do pokoju, a dziewczyna przenosiła się do kuchni. Otwierała mi potem drzwi i niepostrzeżenie wchodziłem do środka. Rano cicho się wynosiłem, a po chwili wracałem, jak gdyby nigdy nic. Dziewczyna pracowała w sklepie. Rodzice byli na rencie i siedzieli w domu. Córka urodziła im się późno. Chodziłem z nią zawsze do tego sklepu i" siedziałem tam przez cały dzień. Naprawdę ją kochałem. Klienci dziwili się, co robię w sklepie, myśleli, że jest pod obserwacją i postawili w nim na straży żołnierza. Takie miałem informacje, kiedy znowu wybrałem się na urlop. Jednakże po tym doświadczeniu z marszem tak się zmieniłem, że kiedy wysiadłem z pociągu i byłem coraz bliżej dziewczyny, nogi instynktownie zwalniały. Wyrwała się ze sklepu i czekała na mnie na peronie; ubrana w biały fartuch związany na plecach na krzyż, bez pończoch, na nogach drewniaki, a na głowie niemiecka pilotka. Znalazła ją obok torów, kiedy zbierała kwiaty. Patrzyłem na nią z daleka, z tłumy, tak jakby mnie tam nie było. Miałem wrażenie, że jestem gdzieś w lesie. Właściwie to byłem w lesie — w Uusimaa. Widziałem dziewczynę taką, jaką rzeczywiście była. Wyglądała zwyczajnie — jak mamusia — zdaniem dwudziestolatka. Nie wzięła wolnego, na pewno miała zamiar zabrać mnie do sklepu, żebym poczekał, aż zamkną i posprzątają. Tłum się przerzedził, odszedłem nieco dalej, ale nie spu-

szczałem jej z oczu, na to się nie odważyłem. Obawiałem się, że jeżeli przestanę ją obserwować, to gdzieś na nią wpadnę. Dziewczyna została na peronie sama. Stałem już wtedy w cieniu na rogu magazynu. Przez pewien czas rozglądała się dookoła z założonymi rękami, kopiąc drewniakami kamienie. W końcu ruszyła. Patrzyłem z tyłu, jak kręci tyłkiem. Miałem wtedy ochotę pobiec za nią, ale nie zrobiłem tego. Na pewno myślała, że nie przyjechałem i bałem się, że jeżeli do niej nagle podejde, to dostanie ataku serca. Co się stało, to się stało — sprawa była pewna jak narodziny człowieka. Postanowiłem zniknąć z okolicy pierwszym pociągiem, niezależnie od tego, dokąd jechał. Jechał na północ. Dojechałem do Riihimaki, wysiadłem i poszedłem prosto pod sklep z wódką. Tam poprosiłem jednego faceta, żeby mi kupił dwie butelki czystej. Sam zżęł by chętnie sobie kupił, ale nie miał forsy. Teraz mógł ku przerażeniu sprzedawczynie pewnie wejść do sklepu i kupić dwie butelki. Zarobił na część tej radości, więc poszliśmy na podwórko „Wiadomości Riihimaki” nieco pociągnąć. Dziennikarze są na tyle oblatani, że takie rzeczy nie robią na nich wrażenia. Stary zdrowo ciągnął. Miał wstrętne, grube wargi, a gęba lśniła mu od tłuszczu. Dałem mu całą butelkę, bo i tak nie miałem ochoty z niej pić, a może i nawet nie mógłbym. Jestem w tych sprawach bardzo wrażliwy — z brudnych naczyń nie jem. Czasami kiedy patrzę na własny brudny talerz, tracę apetyt i muszę zostawić resztę. Stary był zadowolony, ale gryzło go trochę sumienie. Wygrzebał z kieszeni papierosnicę i zaofiarował mi. Były w niej cztery papierosy. Podziękowałem i wziąłem ją. „Nie mógłbyś mi dać jednego?”, ośmielił się jeszcze poprosić. „Kto daje i odbiera... ale jak już zaczęliśmy dawać. Ali right”, powiedziałem podając mu papierosa. Na odwrocie papierosnicy było nazwisko i adres jakiejś kobiety. „To jakiś ważny adres?”, zapytałem pokazując napis.

Adres był z Riihimaki, nazwisko też. Signe Lrhtonen. Stary spojrział na to i podrapał się w głowę. „Nigdy tego nie widziałem”, powiedział zdziwiony. „Nie napisałeś tego sam?”, spytałem. „Nawet nie zauważyłem że, tu jest coś takiego”, odparł. „W takim razie zatrzymam ją. Dostałeś ją od kogoś?”, zapytałem, bo dobrze byłoby wiedzieć. „Jakiś żołnierz dał mi w restauracji na dworcu, a raczej zostawił na stoliku i wyszedł.” „Do ustępu?” „Nie wiem”, odparł stary. Niczego więcej się nie dowiedziałem, ale to wystarczyło. Pożegnałem się i ruszyłem do miasta.

Przechodziłem parę razy obok domu wskazanego na adresie. Był to brudny, drewniany, pomalowany na brązowo budynek, tak jak to jest w zwyczaju w Riihimaki. Dookoła rosło trochę trawy i jedna brzoza, o ile można powiedzieć, że jedna brzoza rośnie dookoła domu. Chodziłem tam i z powrotem. Kobieta w średnim wieku myła schody, a kiedy się odwróciłem i znowu ruszyłem z powrotem, zauważyła mnie. W takich dziurach ludzie zaraz spostrzegają, że dzieje się coś niecodziennego. Wszedłem na podwórko i zapytałem ją, czy zastałem Signe. Patrzyła na mnie co najmniej pięć minut. „Mam dla niej tylko pozdrowienia”, powiedziałem. „Pewien dobry przyjaciel prosił mnie, żebym ją pozdrowił...” „A tak, mieszka tu”, odparła w końcu. Trochę się spieszę”, ciągnąłem. „Urlopy są tak krótkie, że zawsze trzeba się spieszyć. Mój pociąg odchodzi za pół godziny”. Kobieta nie odpowiedziała, patrzyła tylko to na mnie, to na ścierkę, którą trzymała w ręce. Kapała wodą na kamienne schody i robiła na nich czarne plamy różnej wielkości. Zaczynały schnąć na brzegach, najpierw tę większe. Może źle trafiłem, pomyślałem. Chciałem chociaż przez sekundę być w jej skórze, żeby się dowiedzieć, co też wiedziała o tej Signe. „Dostanie się pan tam tymi drzwiami w rogu”. Po-dziękowałem, poszedłem na koniec domu i zna-



lażem drzwi. Za nimi zaczynały się schody na strych, takie strome, że uderzyłem się w czoło o siódmy stopień, kiedy zacząłem się wspinać. Na górze nie było żadnego korytarza, drzwi zaczynały się w połowie ostatniego stopnia. Widocznie w tym domu wykorzystywano powierzchnię w sposób maksymalny. Walnąłem pięścią w drzwi i przez szparę na dole próbowałem zajrzeć do środka, jako że nie było tam progu. Rozległy się kroki i otworzyły się drzwi. Uchyliłem głowę myśląc, że otwierają się na zewnątrz. Ale nie, i tak by się tam nie zmieściły. Otworzyły się do środka i ciemnowłosa kobieta patrzyła na mnie jak z obłoków. Obłokiem była oczywiście jej biała koszula. Miała mniej więcej czterdziestkę, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i około osiemdziesięciu kilogramów wagi. „Podglądałeś”, powiedziała otwierając drzwi jak szeroko. Wpadłem przez nie do pokoju i zatrzymałem się dopiero na ścianie. Zostałem niechcący posadzony o szpiegowanie. W plecaku miałem dziurę od noża, przez którą wyszła szyjka od butelki. Nie wiedziałem o tym ani jej nie zauważyłem, ale spostrzegła to kobieta. Otworzyła mi plecak, wyciągnęła butelkę i postawiła ją na stole. Następnie przyniosła dwie szklanki. Takie obyczaje zmieniają nawet klimat magazynu spółki handlowej w znajomy, swojski nastrój. „Zdejmij płaszcz”, powiedziała zachęcająco. „Pani Signe Lehto-nen?”, zapytałem przezornie, zanim zacząłem się rozbierać. „Yes, to moje nazwisko.” Powiesiłem okrycie na wieszaku, a czapkę położyłem na półce. Pokój był tak duży, albo dom tak mały, że strych ciągnął się aż do przeciwległej ściany budynku, na której było okno. Po lewej stronie stało łóżko, a na nim leżał mężczyzna w bieliźnie. Marszczył twarz, żeby otworzyć oczy. „Ciao”, zagadnął. „Pozdrowienia od Kalle” — odparłem jak zawodowy szuler. „Co u niego słychać?” zapytała kobieta. „Żałuje starych grzechów i tęskni za nowymi”, odpowie-

działem gładko. Facet wygrzebał się z łóżka na podłogę i ziewnął całą gębą. „Która godzina?”; spytał. Kobieta naląła mu szklanę wódki i postawiła ją na podłodze. Facet przysiadł obok szklanki, podniósł ją i przepłukał gardło. Potem chuchnął i ponownie zapytał: „Pada?”. „Nie pada”, odparłem. Kobieta wzięła trzecią szklanę i poprosiła, żebym usiadł. Powiedziałem, że mi się trochę spieszy, bo mam za pół godziny pociąg. „Dokąd?”, spytał facet. „Na północ. Wpadłem tylko z pozdrowieniami od Kalle”. Sięgnąłem po szklanę i wychyliłem ją duszkiem. Kobieta ochoczo ją napelniła. Podniosła z podłogi wojskową kurtkę tego gościa, założyła, zapięła ją, a następnie zaczęła grzebać coś przy piecu. „Zjesz owsianki?”, zapytała. Facet słysząc to rzygnął na podłogę. „Ja w każdym bądź razie nie”, wtrąciłem pospiesznie. „W tym tygodniu nie jemy”, wyjaśnił ten gość. „Mój żołądek, jak widzisz, nie wytrzyma”. Kobieta wzięła „Wiadomości Riihimaki” — wytarła nimi wymioty i wyrzuciła je przez okno. Bardzo blisko zagwizdał pociąg. Tory biegły tuż obok domu. Był to pociąg towarowy z rosyjskimi wagonami wojskowymi i estońską lokomotywą pancerną — była niższa od fińskiej. Całe pomieszczenie jakby zamieniło się w wagon, trzeszczało i dudniło, dokładnie tak, jakby znajdowało się w pociągu. „No tak, teraz muszę już iść”, powiedziałem. „Nie ma chyba aż takiego pośpiechu?”, zaprotestowała kobieta. „Mam jeszcze kupę pozdrowień do rozniesienia”, wyjaśniłem zakładając płaszcz. „Aune”, zwrócił się facet do kobiety. „Co?”, spytała Aune. „Nalej mi drugą, ta zostanie w środku. Mam taki żołądek, że pierwsza zawsze wychodzi, druga zostaje. Muszę mieć tylko chwilę przerwy, nie mogę tak od razu pchać następnej. To od tego spania, chociaż trochę pośpię, to pierwszą zawsze wyrzygam”. Kobieta naląła, a facet wypił. W podnieceniu patrzyliśmy, czy zostanie w środku — a jednak zo-

stała. Prawą ręką ścisnął z całej siły usta, parę razy podeszło mu już do gardła, ale cofnęło się. Potem uśmiechnął się jak panna na weselu i wyglądał na zadowolonego. Szczęście to najczęściej bardzo prosta sprawa. Powiedziałem „cześć” i ruszyłem, żeby zejść na dół. Pech chciał, że zapomniałem, jakie to schody i można powiedzieć, że przeleciałem aż do drzwi. Na szczęście zamek i futryna wytrzymały, dzięki czemu nie wyleciałem na podwórze. Utknąłem między drzwiami i schodami. Kobieta spojrzała z góry i spytała: „Zabolało?”. Nie zeszła, żeby mi pomóc, bo i tak nie dałaby rady. Jakimś sposobem, ręką, która utknęła gdzieś z tyłu, otworzyłem drzwi i wypadłem na podwórko. Tam udało mi się stanąć na nogach. Zamknąłem drzwi i wyszedłem na drogę. Kobieta nadal myślała schody. Zaczęła je myć od nowa, bo pewnie nie miała nic innego do roboty, albo wydawało jej się, że wszyscy podróżujący pociągami je oceniają. Może też i dlatego miała na głowie przeciwsłoneczny kapelusz, a na nogach wojskowe buty. „Pewnie te pociągi tak tu brudzą” — zagadnąłem. Spojrzała na mnie przyjaźnie. Tego właśnie potrzebowałem. Znowu poszedłem do sklepu z wódką, ale tym razem kupiłem sam. Wziąłem dwie butelki i starannie ułożyłem je w plecaku, żeby czasem nie wylazły drugi raz. Stamtąd poszedłem do restauracji na dworcu i wziąłem piwo, bo nie mam zwyczaju pić samej wódki, zawsze muszę zagryźć, choćby nawet później. Była wojna, trzeba było pić, co było. Po wojnie czystej już nie próbowałem, ba nawet nie widziałem. Z wiekiem człowiek mądrzeje.

— Z pewnością — wtrącił Toivonen. Albo jak się jedzie za granicę, to dopiero można zmądrzeć.

— Był pan za granicą? — zapytał kapral.

— Kilka razy w Szwecji-- '-..;, <*

— No to w takim razie orientuje się pan w takich sprawach.

— Z wyjątkiem kobiet — powiedział Toi-vonen. One są z natury mądre. Nie ma głupich.

— Oczywiście że są — zaprzeczył sierżant łączności.

— W pewnych sprawach — odparł Toivo-nen.

— I pan to zauważył? — zdziwił się kapral.

— Przecież i panu zabrała butelkę wódki — odciął się Toivonen.

— Owszem wzięła, ale to była chwila, zaraz potem kupiłem nowe, chociaż te też na długo nie starczyły. Spotkałem na stacji w Riihima-ki znajomego kolejarza, jadł grzyby. Podeszedłem, żeby z nim pogadać, powiedział, że jadą na północ. Poprosiłem, żeby mnie wzięli ze sobą. Przyobiecał i zaprowadził mnie do wagonu konduktorskiego. Kierownik pociągu nie miał nic przeciwko temu. „Urlopowiczom trzeba pomagać”, powiedział. Ruszyliśmy na północ, jazda była jednak cholernie wolna, zatrzymywaliśmy się na każdej stacji. Dojechałem do Ha-meenlinny i wysiadłem. Pociąg jechał aż do Toijala, ale aż tak daleko na północ nie chciałem jechać. Kiedy się jechało, to właściwie północ wydawała się być blisko, tak cholernie powolny był ten pociąg. Szorując dla zabicia czasu, nogami po podłodze zdarłem całe podeszwy. Hameenlinnę znałem już od dawna. Mieszkała tam pewna dziewczyna, która przed wojną chodziła ze mną do tej samej klasy szkoły handlowej. Wiedziałem, w którym sklepie pracuje, więc poszedłem tam zajrzeć. Sklep znajdował się na parterze ceglanego domu stojącego na zboczu stromego pagórka. Jego pierwsze okno było tak nisko, że niechący można je było wybić nogą, drugie natomiast tak wysoko, że człowiek widział, co manekin ma pod spódnictwem do sklepu. W tamtych sklepach sklepu wisiał dzwo-



ŁŁ+86

n

nek, teraz jest hamulec, żeby nieletni ani zbyt starzy, ani tacy, co nie mają pieniędzy, nie mogli wejść do środka. Był to sklep z materiałami, śmierdziało w nim farbnikami, stary stęchły zapach. Nikt nie wyszedł, więc zajrzałem głębiej, do pokoju. Tam też nikogo nie było. Usiadłem na ławce i czekam. Ani szmerku — można powiedzieć, że było cicho. Po jakichś pięciu minutach weszła dziewczyna. Załatwiała jakieś sprawy. Zdziwiła się, ale nie dlatego, że byłem w sklepie, tylko dlatego, że to byłem ja. Była to taka cicha, grubawa, jasna dziewczyna, która nigdy nie miała nic do powiedzenia. Teraz też nie zrobiła się rozmowniejsza, bo i dlaczego? Typowy zadatek na starszą pannę; w szkole nikt jej nie widział z chłopca na ulicy też nigdy nie pokazywała y z nami, o ile oczywiście kiedykolwiek. Nosila szwedzkie nazwisko, ijrzyć do chorej matki. to i. reguły czynią grze-d/.iewczynki mają zwy-i. Matka z kolei martwiła się i, w obawie, że może jej się coś przytrafić,

n mówiąc inaczej bała się, że to mogłoby w jakiś sposób zmienić jej córkę. To są znane

iwy. Wyszedłem na ulicę, żeby zapalić i pomyślałem, że właściwie mógłbym już sobie pójść. Wróciłem jednak. Dziewczyna przyniosła mi z zaplecza sklepu krzesło, usiadłem, chociaż wydawało mi się nieprzyzwoite, że na siedzeniu jest pełno małych dziurek. Spojrzałem na zegarek. Ciągle była trzecia. Już myślałem, że stoi, ale moje podejrzenia rozwiały się, kiedy po pół godzinie było już dwie po. Sprawdziłem na swoim zegarku — godzina była ta sama i zaczęło mi to wyglądać na czas Hameenlinny. Dziewczyna znowu poszła zajrzeć do matki, tłumacząc, że może wyjść skoro jestem w sklepie, w przeciwnym wypadku nie zrobiłaby tego. Nikt nie jest bez wad, pomyślałem postanawiając rozejrzeć się, czyli zobaczyć,

czym się tutaj zajmują. Wszedłem do pokoju na zapleczu. Mieściła się w nim pracownia krawiecka: stała tam deska do prasowania i maszyna do szycia, a w oknach wisiały powycinane z gazet fasony. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na dwór. Na podwórku domu naprzeciwko siedział na ławce starzec i rysował coś na piasku końcem laski. Kusiło mnie, żeby pójść zobaczyć, co też tam maluje. Co może wypisywać na piasku dziewięćdziesięcioletni dziadek? Napis nagrobkowy, czy imiona dzieci? Na ścianie pokoju wisiał portret Mannerheima. Matka i Mannerheim — jedyne obiekty uczuć dziewczyny. Ponownie wyjrzałem przez okno. Starzec spadł z ławki i leżał na boku opodal niej. Zdenerwowałem się i czekałem, aż ktoś przyjdzie mu pomóc. Nic takiego nie nastąpiło, słońce świeciło tak, jak to bywa w małym miasteczku w południe, a w jego świetle wszystko jest takie jakie jest: starzec jest starcem i leży jak długi. Kiedy dziewczyna wróciła, powiedziałem jej, co się stało. Podeszła do okna i opowiedziała mi o nim. Był to stary lektor, który często leżał sobie na podwórku, bo miał taki zwyczaj. Gdy zmęczony się siedzeniem, to kładł się na ziemi, nie na ławce, bo nie mógłby się potem z niej podnieść. Leżąc obok niej zawsze mógł się w potrzebie czego złapać. To proste wyjaśnienie zupełnie mnie zadowoliło. Dziewczyna zagotowała erzac kawy, którą wypiliśmy w pokoju na zapleczu. Przyniosła z domu dwie drożdżówki. Przeprosiła, że obydwie są z brzegu obgryzione — to matka. Spojrzałem przez okno, czy jest tam jeszcze starzec. Był. Działo mi to tak na nerwy, że po kawie poszedłem na podwórko obejrzeć go z bliska. Słuchałem czy oddycha — nic nie było słychać, oddychał bezgłośnie. Na piasku narysował gwiazdę Dawida, flagę fińską, swastykę i gwiazdę pięcioramienną — wszystkie możliwe symbole czasu. Rzeczywiście był na bieżąco. Gdy wróciłem do sklepu, dziewczyna powiedziała, że stary

miał przed wojną dwór. Kiedyś poszedł sprzedawać jabłka na rynek w Hameenlinna. Miał pięćset jabłoni, ale wmówił sobie, że tylko jedna jest jego. Chciał być biedny i niewymaga-jący, co mu się oczywiście świetnie udawało, bo był cholernie bogaty. Siedział na rynku między przekupkami i sprzedawał te jabłka. Był taki oszczędny, że nie dawał nawet spróbować — wolno było jedynie powąchać. Ponownie wyjrzałem przez okno. Znowu siedział na ławce. Zobaczył na piasku moje ślady, gryzmolił po nich ze złością łaską i gadał coś po szwedzku. Było dziesięć po trzeciej. Pomyślałem, że mógłbym już iść; ale wydawało mi się, że byłoby jakoś niegrzecznie, gdybym tak nagle wyszedł. Dziewczyna stała za ladą i wyglądała, jakby słuchała muzyki. Może coś słyszała. Była bardzo muzykalna i śpiewała w chórze kościelnym. Manekin w oknie był znacznie żywszy od niej, flirtował bez przerwy przechylając głowę na bole i jakby mówiąc „Obok jest kawiarnia, chodźmy na szklaneczkę wina”. Nie miałem ochoty, bo w plecaku miałem dwie butelki wódki. Wstydziłem się tego plecaka. Postanowiłem posiedzieć do wpół, a potem iść. Jednakże od tego momentu zaczęło się coś dziać. Przyszła właścicielka. Była to wesola, żywa i zgrabna kobieta, taka wesola wdówka, o czym powiedziała mi już wcześniej dziewczyna. Jej mąż był kapitanem, który w czasie pokoju rozstał się z armią i żoną. Został w Laponii hotelarzem. Gdzie się teraz podziewał, tego podobno nikt nie wiedział, ale z pewnością znowu był kapitanem. Wdowa zagadywała do mnie i tak się śmiała, że aż zegar zaczął się posuwać. Dochodziła piąta. Nie zjawiał się ani jeden klient. Odzież była wtedy na kartki i sprzedawano ją spod lady. W dzień klienci przychodzili oglądać gatunek i kolor, w nocy robiono interesy. Wdowa zaprosiła mnie i dziewczynę do siebie na kawę. Chciała chyba, żeby dziewczyna była dla niej przyzwoitką. Nie puściła do mnie oka,

20

nawet nie spojrzęła na mnie, unikała mojego wzroku. Chociaż rozmawiała ze mną, wydawało się, że w ogóle jej na mnie nie zależy, tylko na rozmowie. Fizycznie jakby mnie nie było. Cwane wdowy takie właśnie są. Może też nie chciała się wyzbywać wyobrażeń, jakie o mnie miała. Spotkałem już przedtem takie kobiety. Z nimi wszystko zamienia się w żart, ukrywają wszystko, co ma jakąś wartość. Dziewczyna powiedziała, że nie wie, czy będzie mogła pójść, to zależy od matki. Na pewno pozwoli, zapewniła ją wdowa. Zamknęła drzwi sklepu i schowała klucz do torebki. Drzwi były brzozone i wypalono na nich napis: Seesjarvi 1942. We trójkę poszliśmy do domu dziewczyny. Wdowa poruszała się znacznie zgrabniej niż dziewczyna. Była od niej cięższa, ale robiła wrażenie lżejszej, gdy szła. Nie wiem czy było tak samo, kiedy siedziała albo leżała. Weszliśmy do mieszkania. Matka owinięta koldrą siedziała w bujanym fotelu. Spała, ale kiedy stanęliśmy w progu, powiedziała: „Witajcie, dzień dobry”. Dziewczyna zaszeptała jej coś do ucha, a ta odparła: „Nigdzie nie pójdziesz, zostaniesz w domu”. „Tylko do mnie na kawę i pogawędkę”, próbowała wyjaśnić wdowa. „Porozmawiajcie tutaj, Rangi nigdzie nie pójdzie”, odparła matka. Kobiety próbowały ją przekonać, ale była nieugięta. „I tak nie potrafi porozmawiać”, twierdziła. „O czym będzie tam gadać”. „Niech siedzi ciągle w domu z nosem w książce”, rzekła wdowa. „Linie tylko przez to straci”, dodała. Nagle matka złapała się za pierś, stęknęła i opadła na oparcie fotela. „Dostała ataku”, krzyknęła dziewczyna i pobiegła po mokry ręcznik który potem położyła jej na czole. „Mogłabyś chociaż ten wieczór spędzić w domu, kiedy umrę lataj sobie, dokąd chcesz”. Kobiety pomogły chorej ułożyć się na łóżku. Ja nie miałem odwagi. Wdowa zaczęła opowiadać o złodziejach zawiasów od bram, co zainteresowało starą. Plotkowały jakieś pół godziny. Potem

21

dziewczyna wstała, założyła na głowę chustkę i zaczęła się zbierać, niby to do miasta. „Niedługo wrócę”, paplała. „Nie będę długo. Wpadnę tylko do Lantasilla.” Kiedy wyszliśmy, wybuchliśmy tłumionym śmiechem. Dziewczyna tylko się zarumieniła.

Ruszyliśmy do mieszkania wdowy, które znajdowało się nad brzegiem jeziora. Mieszkała na trzecim piętrze. Pojechaliśmy windą. „Lubię tę windę” — powiedziała wdowa. „Jazda w górę i na dół ożywia krążenie krwi. Każdego ranka jadę trzy razy na dół i do góry, potem nogi nie ciężą”. Pani domu poszła do kuchni zrobić kawę. Zostałem z dziewczyną w pokoju gościnnym. Wdowa zamknęła za sobą drzwi od kuchni, krzątała się w niej i podśpiewywała sobie. „Jeszcze raz. Jeszcze raz zaśpiewaj słowiku”. Siedziałem w bujanym fotelu, a dziewczyna na twardym krześle za stołem. Już taka była, że nawet gdyby była sama w mieszkaniu, to i tak by na nim usiadła. „Są przecież tutaj wygodniejsze krzesła”, zauważyłem. „Lubię twarde”, odparła. Nagle do pokoju wpadła wdowa. Wyciągnęła album ze zdjęciami, posadziła dziewczynę na kanapie, następnie złapała mnie za rękę i kazała usiąść obok niej, po czym wróciła do kuchni. Oglądaliśmy nudny album, w którym wszystkie zdjęcia były do siebie podobne. Pani domu na plaży gdzieś na brzegu Tervijoki, uwieszona na szyi dwóch mężczyzn z dwoma zapasowymi w tle. Potem wdowa sama, nago siedząca w kucki w wodzie, strasznie roześmiana. Zachowała na pamiątkę wesołe chwile. Na innym zdjęciu gruby mężczyzna stoi w ubraniu po pas w morzu i pije z butelki wódkę. Pod zdjęciem napis: Aaro ostatniego lata. To z pewnością mąż. Dziewczyna zasłoniła ręką następne zdjęcie nie pozwalając mi go obejrzeć. Złapałem ją za rękę i siłą odciągnąłem na bok. Wtedy do pokoju wpadła wdowa i zaśmiała się słodko. Założyła na głowę kapelusz z woalką — pogroziła nam palcem i powiedziała:

„Zadnej przemocy ani swawoli. Nie wychodzę na długo, na jakieś pół godziny.” Pang, trzasnęły drzwi. Dziewczyna podniosła się i poszła usiąść na drewnianym krześle. Zdjęcie, które zakryła przedstawiało ją razem z właścicielką na tle sklepu. Na ziemi widać było cień fotografa, łysego mężczyzny. Niczego odważniejszego poza tym na nim nie było. Potem obejrzałem sobie inne zdjęcia wdowy. Akty. Akty są rzeczywiście szczególnie obnażające. Usiadłem na brzegu krzesła obok dziewczyny. Położyłem jej rękę na szyi, ugryzłem i próbowałem pocałować, ale wtedy wybuchnęła krzyżąc, że wdowa może wrócić. Widocznie wyraźnie słyszała, kiedy gospodynin weszła do kuchni tylnym wejściem. Poszedłem tam zajrzeć, a wtedy dziewczyna uciekła. Znowu usiadłem w fotelu i oglądałem album. Po chwili zadzwonił dzwonek— Rangi wróciła. Nie miała odwagi uciec. Ta cecha rozpowszechniła się w czasie wojny od frontu aż po domowe pielesze. Dała mi po prostu ochłonąć. „Jeżeli będziesz grzeczny...”, powiedziała. „Oczywiście, że będę”, zapewniałem idąc za nią. Kiedy przechodziła obok kanapy, spróbowałem ją tam przewrócić, ale mi się nie udało. Upadła na podłogę, na szczęście dywan był miękki. Odwróciłem ją na plecy, mimo że trzymała się stołu i krzesła. „I tak wezmę od ciebie całusa i jeszcze coś więcej”, powiedziałem i rzeczywiście postanowiłem wziąć. Była taka grzeczna i spokojna, że nie chciała nawet wołać o pomoc. „Nie jesteś zakonnicą, musisz przyzwyczaić się do mężczyzn, spróbować i tego. Nie mogę ci dać nic innego, jak tylko trochę doświadczenia”. Dziewczyna opierała się, co było jej błędem, bo podnieciłem się tak, że piana wyszła mi na usta. Niestety była bardzo niedoświadczona. Podniosłem jej spódnicę do bioder i ściągnąłem pończochy. W tym momencie przestała się opierać. To był próg, za którym już dla niej nic nie istniało, było to coś najgorszego, co mogła sobie wyobrazić, więcej

już nie potrafiła. Zaczęła płakać. Jasny przypadek. Wstałem z podłogi i mówię: „Idź do diabła. Nie tknę cię, nie mam nawet ochoty. To była tylko zabawa.” Usiadłem na kanapie i zacząłem oglądać album. Za każdym razem, kiedy trafiłem na zdjęcie wdowy, byłem na nią wściekły. Dziewczyna poprawiła ubranie i usiadła na drewnianym krześle, żeby się nieco uspokoić. Po chwili wpadła wdowa podniecona jak nauczycielka wiejskiej szkoły ludowej na majówce. W ręce trzymała niewielki dzbanek na mleko albo na śmietanę. „Siedzicie tu jak na pogrzebie”, powiedziała. „Mogliście włączyć sobie radio. Zapomniałam wam powiedzieć”. „Mamy własną muzykę”, odparłem. Następnie przyniosła kawę, ale bez śmietany. Moja była wzmocniona koniakiem. Zastanawiałem się, co jej jest, zanim to sobie uświadomiłem. Póki nie spróbowała, myślałem, że w jej kawie nie ma koniaku. Dziewczyna upuściła filiżankę i zaczęła drzeć jak w malarii. Już myślałem, że to na skutek przeżyć wewnętrznych i że to ja ją doprowadziłem do takiego stanu, chociaż nie mogłem w to uwierzyć. To prawda, że można oszaleć, jak się obieca, a nie da, ale żeby od tego, że się nie chce i nie dostaje? Skąd mogłem o tym wszystkim wiedzieć? To było jednak od koniaku, widocznie dziewczyna miała do niego straszną awersję. Wdowa uśmiechnęła się słodko. Rangi stwierdziła, że źle się czuje, ale powiedziała to tak cicho, że dopiero za piątym razem zrozumiałem, o co jej chodzi. Gospodyni odprowadziła ją do drzwi, a następnie usiadła obok mnie na kanapie biorąc do ręki album. Oglądaliśmy go razem. Należała do kobiet, które bez przerwy się śmieją, gdy wpadną na jakiś szatański pomysł. Nagle zerwała się z kanapy, chwyciła mnie za rękę i zaciągnęła do sypialni. Tam powiedziała: „Niech pan położy rzeczy na podłodze, nie ma tu wieszaków”. Zaczęliśmy się rozbierać, ale i tak byłem wolniejszy, mimo że jestem żołnierzem. Kie-

dy byłem już rozebrany, położyłem się do łóżka, ho nie potrafię być nago w żadnym innym miejscu. Wdowa przeszła trzy razy przez pokój. Była zgrabna i stawiała energiczne kroki wyrzucając wysoko w powietrze stopy. Wydawało mi się, że się przedstawia: taka jestem. Może też była podekscytowana. Sytuacja była podniecająca. Potem poszła do łazienki i umyła zęb}. W łóżku była cały czas poważna i wpatrywała się w moje czoło. Była mądrą i doświadczoną kobietą. Ile to już razy śmiech kobiety zbił mężczyznę z tropu w ostatniej chwili. Potrafiła być poważna. Nie mogłem wykrztusić ani słowa. Powaga chwili odejmowała mi mowę. „W tym wieku wszystko, czego lekarz nie zabroni, jest dozwolone”, powiedziała nagle. W jakiś sposób poczułem mniej szacowne uczucia. Wziąłem z korytarza plecak, wyciągnęłem butelkę wódki i napiłem się prosto z niej. Wdowa powstrzymywała mnie mówiąc, że to jest niezdrowe i że ma przecież koniak. Odparłem, że każda radość szkodzi zdrowiu, z wyjątkiem psychicznego. Najlepiej wzmacniała mnie czysta wódka, a ponadto wprawiała mnie we właściwy nastrój. Spałem jak zatopiona na dnie jeziora kłoda. Kiedy się obudziłem, zwymiotowałem na łóżko, a chyba właśnie po to się obudziłem. Gospodyni była już ubrana. Czuję się jak chora świnia. Kiedy stanąłem na podłogę, żeby sprawdzić czy utrzymam się w postawie pionowej, wdowa szybko zerwała prześcieradło, podniosła materace i oparła je o brzeg łóżka. Ubrałem się i zapragnąłem łyku świeżego powietrza. „Wychodzę teraz w interesach” — powiedziała. Była trzecia w nocy albo wpół do czwartej, nie pamiętam, na którą wskazówkę patrzyłem. „Jest pani pracowita”, odparłem. „Może pan się tu gdzieś przespać”, zaproponowała nieokreślenie. „Nie, nie pójde już” stwierdziłem. „Pozwól, że pójde pierwsza”, powiedziała. Mówiła mi przez „ty” pierwszy i ostatni raz w chwili pożegnania. Był to piękny gest

i nie wymagał od niej żadnych szczególnych wysiłków.

W pośpiechu wszystko można powiedzieć.

Pomachałem jej ręką. Kiedy znikwała w drzwiach zdążyła jeszcze popatrzeć na mnie jednym okiem. Oko wydawało mi się wtedy niezwykle wielkie w stosunku do małego szpary w drzwiach. Usiadłem w bujanym fotelu. Wziąłem album i przeglądałem jej zdjęcia. Na jednym z nich stała na środku rynku w Hame-enlinna i karmiła gołębie, z których jeden był biały. W tle widać było budynek urzędu gminnego, a na parapetach jego okien opalające się młode kobiety i mężczyźni. Byli jak w upojeniu: przymknięte oczy, twarze podniesione ku słońcu. Był to chyba koniec marca albo początek kwietnia, tak się wydawało sądząc po cieniach. Piękne zdjęcie. Wdowa była na nim poważna i jakby nieco zasmucona, o czymś myślała. Oderwałem zdjęcie i wsadziłem je między kartki niemieckiego czasopisma „SiPnal”, żeby się czasem nie podarło, nie pogmiotło ani nie zwinęło. Gazetę wepchnąłem do plecaka. Następnie zarzuciłem go na plecy i wyszedłem. Nie pozostawiłem po sobie żadnej pamiątki, nawet pustej butelki, którą także zabrałem. Dostałem za nią w sklepie piętnaście Denni, a może nieco mniej. Poczłapałem na dół. Winda wywoływała we mnie przykre myśli, nie wierzyłem, że mój żołądek zniosłby ją, skoro nie mógł nawet znieść wódki. Ostrożnie wyszedłem z domu. •

Słońce świeciło wzdłuż ulicy, pełnej gruchających gołębi, które jak koty wylatywały spod parapetów okiennych i rynien. Były ich setki i miałem wrażenie, że jestem w gołębniku. Także stado białych mew notowało wzdłuż ulic: latały na wysokości moich kolan, zatrzymywały się na rogu, jakby nie wiedząc, w którą stronę skręcić. Skrzeczały tak, że aż mnie ciarki przechodziły. Byłem w filozoficznym nastroju, to znaczy smutny i przygnębiony, jak to zazwyczaj wolny mężczyzna. Powlokłem się na rynek. Było cholernie zimno, kiedy wyszedłem z cie-

płego miejsca w jakiś wietrzny zaułek. Nadjechał ze stacji dorożkarz. Wiózł niemieckiego oficera i fińską dziewczynę. Ładna dziewczyna, można powiedzieć, że piękna. Takie nie jeżdżą o tej porze dorożkami, tylko przespiają swoje dwanaście godzin w łóżku, a ich mąż jest zwykle bankierem. Szczerze mówiąc była piękną wątpliwej klasy, ale uchodziła za gwiazdę latem, w czasie wojny przynajmniej w oczach obcokrajowca. Miała wszystkie cechy fińskiej kobiety: blond włosy, niebieskie oczy, szerokie policzki i mały nos, którym kręciła chcąc wyrazić sprzeciw lub niezadowolenie. Kręciła nim bez przerwy. Dorożkarz zatrzymał się obok mnie i dziewczyna spytała: „Jedzie pan do Poltinaho? Na pewno pan jedzie.” „Tak oczywiście, że jadę”, odparłem. „Niech pan w takim razie usiądzie w dorożce”, powiedziała. „Nein, nein”, zaprotestował Niemiec. Na to dziewczyna: „Mein Bruder”. W czasie wojny nauczyły się nazywać swoim bratem każdego żołnierza, który był tej samej narodowości. Niemiec jakby na siłę się ucieszył i wyciągnął do mnie rękę. Właściwie to nie podawałem ręki mężczyznom, bo jest to nieco pedałowate. Szwab był ślicznym chłopaczkiem, szczupłym, wysokim i czarnowłosym. Miał wąsy jak trzy potrójne końskie włosy, śmierdział mocno wodą kolońską, cygarami, kobietą i koniakiem, chociaż to wszystko mogło być zapachem wody. Usiadłem obok woźnicy i pojechaliśmy przez letnią, nocną Hameenlinnę. Przed jakąś niską budą dziewczyna kazała zatrzymać i zeskoczyła z dorożki. Niemiec również wysiadł. Zachowywał się bardzo rzecznie, może dlatego, że Finlandia była jedynym krajem, którego jeszcze nie podbił. Pocałował dziewczynę w oba policzki, potem w obydwie ręce, a kiedy zaczął całować każdy palec z osobna musiałem się odwrócić, bo nie mogłem znieść takiej systematyczności. Czułem się jak marynarz, który żeglował w burzy a po wszystkim przysiadł so-

bie na małej łączce, patrzył, jak wiatr zrywa z drzew małe listki i wygina żdźbła trawy. Następnie officer uściśnął mi mocno rękę, po wojskowemu trzasnął obcasami, wdrapał się na dorożkę i spoglądał stamtąd. „Powiedziała że jest pan moim bratem”, rzekła po fińsku dziewczyna. „Dziękuję”, odparłem kłaniając się. „A ja jestem waszym ojcem”, wtrącił woźnica. „A ten Niemiec waszym synem”, dodał. W czasie wojny dorożkarze robią się nadzwyczaj niegrzeczni, widać biorą na siebie zadanie krytyki narodu. W każdym bądź razie tak było w Hame-enlinna. A może nikt inny nie chciał tego robić. „Obłeśny kutas”, skomentowała dziewczyna. „Przez całe życie patrzył na końską dupę i od tego ma takie myśli przecięte na pół”, wyjaśniłem jej. Dorożkarz usłyszał. Mieli rozwinięty słuch i słaby wzrok. Nauczyli się podsłuchiwać, jak drobne dzwonią w kieszeni pasażerów. „Uważaj, żeby i z ciebie siostrunia nie zrobiła łęku”, odciął się woźnica. Nie zrozumiałem wtedy. Człowiek ma powolny umysł. Dopiero po dwudziestu latach doszedłem do tego, co stary miał na myśli. Po schodach weszliśmy na górę. Dziewczyna otworzyła kluczem zewnętrzne drzwi i wpuściła mnie do środka. Doskonale rozumiałem jej plan. Bała się wejść do domu z Niemcem ze względu na sąsiadów. Moja obecność miała ją uchronić przed plotkami. To była czerwona dzielnica, prawie że Czerwona Brama i numerów w tym stylu nie uważano tutaj za patriotyczne. Pamiętam, że ulica była bardzo jasna, świeciło słońce odbijając się różnymi kolorami o szyby domów. Niemiec wyciągnął z kieszeni notes i ołówek. Zapisał sobie adres dziewczyny, którego widocznie nie chciała mu dać. Woźnica ruszył w stronę miasta. „Niech pan będzie teraz tak grzeczny i już sobie idzie” — powiedziała dziewczyna ciągnąc mnie za ramię w stronę wyjścia. „Nie jest pani dla mnie zbyt miła”, odparłem i wcale mi się nie spieszyło. „Ludzie zaczną plotkować”, tłumaczyła. „Tym

więcej będą plotkować im mniej będą mieć powodów. W końcu nie jest to aż tak niebezpieczne. To wszystko zazdrość” — odparłem. „Pan nie wie, jakich mam sąsiadów. Niecywilizowanych”, powiedziała. W końcu każdy wie, z kim mieszka. Powoli wyszedłem na podwórko udając, że zapinam rozporek, chociaż dobrze wiedziałem, że jest zapięty. Zasłony ruszyły się w oknach tak, jakby w domu szalał huragan. Warto było popatrzeć na twarz dziewczyny. Waliła się ręką w czoło i jednocześnie odsuwała głowę do tyłu. Wyszędłem na ulicę i ruszyłem w kierunku centrum.

Przed garnizorem fińskim stał szwej na warcie. Przystanąłem żeby pogadać. Od niego dowiedziałem się o aktualnej sytuacji na świecie, a następnie przedstawiłem własne życzenia co do dzisiejszej pogody: gorąco, duszno, bezwietrznie, co spowodowało zgrzyt zębów wartownika. W koszarach oznacza to bowiem tak samo ciężki dzień jak ostrzeżenie o sztormie na morzu. Pływałem, więc można moim słowom ufać. Zapytałem, jak nazywa się sierżant. „Aha, stary znajomy”, powiedziałem wartownikowi i ten wpuścił mnie do środka. Wszedłem do dużego budynku koszarowego, gdzie znalazłem odpowiedni pokój. Dyżurny na piętrze, jakiś kapral, ruszył z końca korytarza, który był tak długi, że żołnierz nie dawał rady przejść go z jednego końca na drugi. Wsadziłem palec w usta, a drugą ręką mu pomachałem. Wszedłem do sali. Wybrałem odpowiednią pryczę, rozebrałem się, ułożyłem rzeczy na szafce, a następnie wdrapałem się na górę, żeby pospać. Lubiłem spać na górnych pryczach. Zawsze śnią mi się tam nieprzyzwoite rzeczy, ale mimo to jeszcze nigdy nie spadłem. Kiedy w koszarach zrobił się hałas, kapral zaczął się drzeć, a rekruci wskakiwali w spodnie i buty, że aż dudniło, przykryłem tylko głowę i spałem spokojnie dalej. Po chwili przyszedł kapral, żeby mnie opieprzyć. Stałem przed nim

poważnie z opuszczonymi rękoma. Wypadło to przekonywująco. Rekruci mieli na dole ćwiczenia biegowe i patrzyli na mnie z zazdrością, że pozwalam sobie chodzić. Zmienił się wartownik i nie chciał mnie wypuścić. Przymknąłem jedno oko, popatrzyłem na niego drugim i mówię: „Jestem zwiadowcą, służbowo w Hameenlinna. Otworzę sobie drzwi choćby nawet pistoletem maszynowym.” Odsunął się i wyszedłem na żołnierską wolność.

Poszedłem na stację, wlałem między wagony towarowe, a kiedy pociąg powoli przejeżdżał pod mostem, stanąłem na zderzakach. Nie była to przyjemna podróż i nie miałem ochoty jechać dalej niż do Riihimaki, mimo że już w Turenki dostałem się do wagonu służbowego. Na stacji zauważył mnie jakiś facet i zrobił alarm. Kiedy jednak wyjaśniłem, że jestem na urlopie i po pijanemu pojechałem w złą stronę, odpuścili mi. Siedziałem w wagonie i patrzyłem, jak kolejarz smaży sznyce na małym piecyku. Wziął z półki paczkę i niechcący uderzył nią z całej siły o jej brzeg tak, że paku- nek rozsypał się. Z jakichś powodów mieli takich paczek setki. Kiedy paczka rozleciała się, wypadły z niej herbatniki, papierosy, masło i kawałek wołowiny. Facet przestraszył się swojej niezdarności, a szef pociągu krzychał: „Zęby mi to było ostatni raz. Cholera zawsze się te paczki rozlatują.” Następnie pozbiierał jej zawartość, związał ją stalową linką i przykleił kartkę: uszkodzona w transporcie. Potem konduktor rzucił masło na patelnię, pociął nożem mięso na płaty i rozbił jakimś kluczem czy też cholera wie czym, postawił patelnię na ogniu i zaczął piec. Też dostałem sznycla. Było to rzadkością w czasie wojny, wtedy bowiem ludzie raczą innych albo tragediami albo moralną podporą. Wzbudziło to we mnie zaufanie do bliźnich. Obudziłem się dopiero gryząc mięso, było diabelnie twarde.

W Riihimaki poszedłem na peron, żeby po-

czekać na pociąg osobowy. Maszynista i konduktor zrobili dla mnie składkę, żebym mógł zapłacić za posiłek. Sporo było podróżnych, a wśród nich przyjemnie wyglądająca dziewczyna, która miała najbardziej gładkie i jasne włosy na świecie. Zezowała jednym okiem, ale to nie przeszkadzało, bo drugim patrzyła prosto. Jaskółki porobiły pod dachem gniazda i lecąc do nich paskudziły ludziom na głowy. Pamiętam, jak palcami zeskr oby wałem gówieńka z ramion dziewczyny i próbowałem chronić jej głowę własną czapką. Trzymałem ją ponad jej głowę, bo była tak przepecona, że nie miałem odwagi, założyć jej tej szmaty. Zapytałem, dokąd jedzie. „Do Lahti”, odparła. Powiedziałem, że jedziemy w tym samym kierunku. Zaczęliśmy rozmawiać o Lahti. Nie wiedziałem o mieście nic więcej niż to, co pamiętałem ze szkoły i co widziałem z okna pociągu. Nigdy mu się nie przyglądałem, stąd też maszt radiowy i skocznia były jedynymi obiektami, o których byłem w stanie coś powiedzieć. Powiedziałem, że skakałem kiedyś na tej skoczni i zapytałem dziewczynę, czy była już na szczycie masztu radiowego. Opowiadałem jej, jak tam jest tak sugestywnie, że prawie zaczęła naśladować jego kiwanie. Kobiety nie znoszą dużych wysokości ani wielkich myśli. Dlatego też warto z nimi chodzić na wieże obserwacyjne, bo można im tam w naturalny sposób pomagać w utrzymaniu równowagi.

Kiedy nadjechał pociąg, pomogłem jej wnieść walizkę i znalazłem dwa miejsca naprzeciw siebie. Łatwiej jest siedzieć obok siebie, ale jeśli ma się mało czasu, to lepiej siedzieć naprzeciwko. To przyspiesza poznawanie się, czyli sytuacja jest tak trudna, że człowiek nieśmiały tego nie znieśie i staje się zupełnie śmiały. Dziewczyna nie bardzo wiedziała, w którą stronę patrzeć. Ogólnie rzecz biorąc trudno powiedzieć, gdzie patrzyła, skoro zezowała jednym okiem. Przez cały czas zaciskała pasek na bio-

drach, zapinała płaszcz i chowała nogi pod ławkę. Przyszedł konduktor, a ja nie miałem biletu. Zrobiłem minę cwaniaka z Helsinek, położyłem głowę na oparciu, przechyliłem ją i lewym okiem przyglądałem się lewej stronie konduktora, prawym bowiem patrzyłem gdzieś j obok jego prawej strony... Ruszył dalej, ale wtedy dziewczyna zatroszczyła się o mnie. Zauważyła, że zapomniał sprawdzić mój bilet. „Konduktorze, Konduktorze!” — zawołała wyciągając rękę. Zrobiła to jednak tak nieprzekonywująco, że konduktor poszedł dalej. Oni w ogóle nie zwracają uwagi na sprawy podróżnych, dopóki ci nie wybijają po pijanemu szyb butelkami, albo nie wymiotują na spodnie obsługi pociągu. Pomyślałem, że to grzeczna dziewczyna. Zrobiło mi się jej żal, oczywiście z powodu tego oka, którym widziała ludzi tylko z boku. Zacząłem jej pokazywać różne sztuczki na palcach, których już dzisiaj nie pamiętam. Rozbawiło to babcię siedzącą obok, ale nie dziewczynę. Potem na podłodze między ławkami pokazałem, jak się tańczy kozaka. Nie wyszło mi to zbyt dobrze, bo pociąg kiwał, a od poprzedniego dnia trochę kręciło mi się w głowie. Ostudziło to babcię i kiedy wyraziła swoje zgorzzenie za uprawianie prorosjanizmu w miejscu publicznym, język dzwonił jej o zęby jak sople. To rozbawiło dziewczynę. Zauważyłem, że poczucie humoru u kobiet budzi jedynie jego brak u innych. Mężczyźni natomiast budzą w nich jedynie uczucia albo też ich nie budzą.

Przyszła Cyganka wróżyć z kart. Pozwoliłem jej usiąść na moich kolanach. Owszem, bałem się, że mnie zarazi robactwem, choć wiem, że to czysti ludzie. Są tylko ciemni i używają zbyt wiele odzieży — to znaczy kobiety. Poprosiłem, żeby powróżyła dziewczynie, ale odmówiła, mówiąc że powróży mi. Zgodziłem się. Rozłożyła karty, popatrzyła na mnie, złożyła talię, włożyła ją do kieszeni fartucha i wstała. „Co mówią?”, zapytałem. „Oj, oj, biedny chłopcze,

wyszły takie czarne karty, że nawet usta nie potrafią tego wyrazić”, odparła Cyganka. „No co tam, że cała przyszłość w czarnych kolorach, niech pani powie, pójdziemy gdzieś w ciemne miejsce, żeby pasowało. „Cyganka wyciągnęła mnie na korytarz wagonu. Puściłem oko do dziewczyny i wyszedłem. „Daj fajkę”, powiedziała. Dałem jej. Zaciągnęła się, a potem wydmuchnęła dym na moje piersi tak spokojnie, że przyklepił się do mojej kurtki i stanął tam jak chmura. Jak materiał to zatrzymuje, tego nie wiem. Baba zaczęła opowiadać: „Nie planuj wspólnej przyszłości z tą dziewczyną, nie będzie twoja. Ty jesteś śmiertelną naturą, na którą sływa cień wywołany przez pechowy fant miłości, nie wiem czy jej, ale ty nie dawaj żadnego fantu. Musisz mieć ciemną partnerkę, ona da ci fant, którego nie będziesz mógł zabrać ze sobą. To wiąże się z tymi wydarzeniami, z podróżami. Wrócisz z nich, ale będą trudności. Przewycięzysz je, a ten fant będzie miał w tym wielkie znaczenie”. Baba opowiadała jeszcze długo i wyglądało na to, że mówi poważnie. Mądrze gadała o osobistych sprawach, ale nic z tego nie rozumiałem. Wróciłem na miejsce. Bałem się, że dziewczyna wyrobi sobie o mnie złe zdanie za to, że byłem u wróżki, tak jak dawno temu król Saul, za co spotkała go sromotna kara. Być może za to, że prorocy mówili, iż wolą Boga było, żeby zniszczył pewien naród, ale z jakiegoś powodu nie zabił ani kobiet, ani dzieci. Właściwie to nie pamiętam, jak to było. W każdym bądź razie w Lahti wzięłem walizkę dziewczyny i wyniosłem z pociągu na peron. Zaproponowałem, że zaniosę ją na miejsce, o ile nie jest to gdzieś na wygwizdowie koło kościoła Hollola. Odparła na to, że mieszka w mieście i sama może nieść. Nie pozwoliłem jej i z uporem taszczyłem jej bagaż. Powiedziała, że w domu obchodzą urodziny ojca i że zebrała się cała rodzina oraz sąsiedzi. Chyba próbowała mnie

przestraszyć, ale i tak uparłem się, że jej pomogę.

Dziewczyna mieszkała w domku jednorodzinny na końcu miasta za torami. Podwórko było pełne ludzi, którzy wyszli, żeby pozować do zdjęcia. Niezwykła chwila, wszyscy stoją na schodach i przed nimi, stopieni w jedno, wpatrzeni w ten sam punkt — obiektyw aparatu. Fotograf musi mieć mocne nerwy. Kiedy zdjęcie było gotowe, grupa rozproszyła się w gnieniu oka. W trakcie fotografowania dziewczyna schowała się za krzakami. „Niech pani szybko do nich dołączy”, ponaglałem, ale odparła, że nie chce psuć zdjęcia. Miała kompleks na punkcie swojego wyglądu. Mają go wszystkie kobiety, choć z różnych powodów. Zresztą mają też szczególnie skłonności do darcia i palenia fotografii. Na schodach dziewczyna podała mi rękę. Chwyciłem ją, potrząsałem dodając jej odwagi i wszedłem do środka. Zaczęło się ogólne powitanie. Witalem się z kim popadło, nawet z małymi dziećmi. Niektórzy mężczyźni robili do mnie oko, sądząc chyba, że jestem jej narzeczonym. Poproszono nas do stołu. W kącie powiesiłem płaszcz, plecak i poszedłem. Dziewczyna zniknęła gdzieś i długo jej nie widziałem. Mąż siostry poprosił mnie na zewnątrz i zaprowadził do drewnianej szopy, gdzie piliśmy czystą prosto z butelki. Było tam jeszcze dwóch facetów w tym samym celu. Kiedy zerknąłem przez drzwi, dziewczyna wyjrzała w stronę szopy przez okno domu. Pomachałem jej, ale w tej samej chwili schowała się. Poszedłem z tymi facetami na strych. Gadaliśmy - tam o wszystkim i o niczym. Kiedy im opowiedziałem o swojej misji patrolowej, słuchali z szacunkiem. Potem zaczęli wspominać wojnę osiemnastego roku. Powiedziałem im, że to były dziecinne zabawy. Jednym dobrym oddziałem zapędziłbym ich w kozi róg, nawet gdyby było ich pięciuset. Pewno pomyśleli, że mam nieco inny światopogląd, ale widać doszli

do wniosku, że skoro jestem narzeczonym dziewczyny albo kimś takim, to niech już tak będzie. Na dole kobiety śpiewały pieśni ludowe, a dzieci grały na podwórku w badmintona. Czasami lotka wpadała przez okno do środka. Było bardzo przyjemnie. Usłyszałem wściekłość nowiny z Lathi, a ponadto uzyskałem dokładny obraz miasta, czyli mówiąc inaczej dowiedziałem się o głupocie burmistrza oraz urzędników z wydziału budowy dróg i usług komunalnych. Kiedy zapytałem o skoczninę, zaczęto mnie uważać za skoczka, a ja nie chciałem psuć obrazu, jaki o mnie mieli. Po myślałem, że gdyby zapytali o moje prawdziwe „ja”, od razu bym podziękował i zniknął. Pod wieczór sąsiedzi pod różnymi pretekstami zaczęli się rozchodzić, część krewnych nocowała jednak w domu. Była sobota i miano świętować dwa dni. Położono mnie w jednym pokoju z jakimś dziadkiem. Mieliśmy stare, małżeńskie łóżko. Stary miał dobry sen i zasnął około ósmej. Nie pozostawało mi nic innego,

⁴ jak zrobić to samo. Przed czwartą obudził się, zaczął kaszleć, zbudził mnie i zapytał, gdzie jest. Ja też zastanawiałem się, gdzie jestem. Wyjrzałem przez okno, ale nie było widać nic oprócz prywatnych działek i jednorodzinnych domków. „Pozwoli pan, że się zastanowię”, powiedziałem i zacząłem myśleć. Aż do Hame-elinny szło mi dobrze, pamiętam nawet, jak stałem na zderzakach pociągu bojąc się, że spadnę, to znaczy miałem taki sen. „To jest chyba Riihimäki”, zdecydowałem. „Tak, to chyba Riihimäki, bo gwizdzą pociągi”, potwierdził starzec. Ponownie wyjrzałem przez okno i doszłem do wniosku, że to jednak nie Riihimäki; gleba była tu innego rodzaju, lżejsza, co zauważyłem na kwiatowym klombie. W Riihimäki grunt jest gliniasty i błotnisty, tutaj natomiast był wyraźnie piaszczysty. Potem przypomniałem sobie, gdzie jestem. Zastanowiło mnie zachowanie dziewczyny, ale nawet rozu-

miałem je. Nie chciała mnie zdradzić, bo gdyby to zrobiła, znalazłaby się w dziwnej sytuacji, ponadto zawiodłaby wszystkich, a tego z pewnością nie chciała robić — była przecież grzeczną dziewczynką. Powiedziałem staremu, że to Lahti. Inni spali jak susły, a my czuwaliśmy. „Niedobrze jest jeść zielone ziemniaki”, powiedział stary. Wyjaśnił mi, że ma słaby wzrok i nie widzi, które są zielone, dlatego też przez pomyłkę najadł się takich wieczorem i jeszcze czuje niesmak w ustach. Wyciągnąłem z kieszeni cukier i dałem staremu, żeby mu się poprawiło, na co rzekł, że bardzo lubi cukier. Sam nawet próbował go robić, właśnie po to uprawiał buraki cukrowe, ale nic z tego nie wyszło. Zachorował w trakcie produkcji. Składniki, to znaczy melasa zrobiła się czarna i zaczęła śmierdzieć. Dałem dziadkowi resztę cukru. Zawsze miałem go w kieszeniach, z jakiegoś powodu zbierał mi się. Radziliśmy sobie we dwoje zupełnie dobrze.

Kiedy wszyscy się obudzili, zjedliśmy poranną owsiankę z masłem przywiezionym przez krewnych ze wsi. Potem ruszyliśmy na poranny spacer na górę Kiverio. Szliśmy drogą kręcącą się w kierunku wierzchołka. Widać było stamtąd całe miasto, jak w kinie. W pewnym momencie zbliżyłem się do dziewczyny i położyłem jej rękę na ramieniu. Nie miała odwagi jej zdjąć. Odciągnąłem ją nieco na bok i powiedziałem: „Nie będę przeszkadzał, zniknę od razu jak każesz. Jest mi bardzo dobrze i nigdy nie wyobrażam sobie, że trafi mi się okazja spędzić urlop w taki sposób, w rodzinnym gronie. To jest jak sen.” Dziewczyna zaśmiała się. Pierwszy raz po owym kozaku, zresztą także ostatni. Wziąłem ją pod rękę. Pozwoliła na to. Próbowałem naelektryzować jej nadgarstek, żeby zobaczyć jak zareaguje, ale uwolniła rękę i zaczęła rozcierać ją drugą. Widać zaboląło. Poszliśmy dalej poniżej grzbietu, blisko brzegu jeziora. Czekali tam na nas wczorajsi sąsiedzi.

Jeden facet miał tam kwadratową działkę, a na jej środku kwadratowy fundament pod dom wzmocniony deskami. Na działkę zwieziono górę piachu i stertę łupanych kamieni. Przyciągnięto także betoniarke. W zardzewiałej, blaszanej beczce było tylko trochę wody i paru facetów bez przerwy musiało ją donosić z jeziora w dwóch wiadrach zawieszonych na babskich nosidłach. W czasie wojny takie nosidła zrobiły się modne, bo wtedy wszystko unowocześniano. Potem już takich urządzeń nie widziałem. Nadeszła z pomocą nowa technika: węże i silniki elektryczne. Zresztą zużycie wody wzrosło na tyle, że baby i tak nie nadażyłyby jej nanosić i podejrzewam, że zrobiłyby rewolucję, gdyby im to zaproponować. „Łopata dla każdego mężczyzny”, zakomenderował jakiś krewny czy też sąsiad. Zaczęliśmy łać fundament. Właściciel został majstrem, dwóch gości pchało taczki, a ja ładowałem betoniarke. Najpierw rzucałem piasek, potem pięć łopat cementu, a na koniec wiadro wody. Dwie kobiety kręciły betoniarke: ta moja dziewczyna i jakaś druga. Tempo zrobiło się nie do wytrzymania. Zawsze czekała pełna taczka. Jakiś drugi majster zaczął wciskać laską błoto między deski, a potem wpychał tam tłuczeń. Właściciel chwalił go głośno twierdząc, że wytrzymałość domu zależy od fundamentów. Próbował oszczędzać cement. Kamień jest tańszy, to znaczy jest, jeżeli nie liczy się własnej pracy, a przecież tłuczeń zrobił sam. „Sprinterskie tempo”, powiedziałem do dziewczyn. Zrobiło mi się ich trochę żal, że muszą kręcić tą korbą. Nie miały ani chwili spoczynku, a mimo to ciągle się śmiały. „Mogłybyście coś zaśpiewać. Nie będzie tak monotonna”, zaproponowałem. Dziewczyny były jednak tak zadyszane, że nic z tego nie wyszło. Coś tam tylko wysapały i na tym się skończyło. Co najmniej przez trzy lata nie robiłem czegoś takiego i weszło mi to w ręce. Jeszcze tego nie czułem, dopiero

na drugi dzień czułem się jak inwalida, ale wtedy warunki były już zupełnie inne. Kobiety przyniosły w wiadrze grochówki, którą jedliśmy, a właściwie piliśmy z kubków. W szopie na narzędzia stała skrzynka piwa i coś mocniejszego, ale kolej na to przyszła dopiero, kiedy skończyliśmy pracę. Zalaliśmy tego dnia cały fundament, zbrojenie właściciel zamierzał zrobić później sam. Dopiero około siódmej, kiedy umyliśmy betoniarkę i wiadra, skończyliśmy robotę. Właściciel był wyraźnie zadowolony i wyciągnął butelki. Mężczyźni stanęli w kółko, plecami do siebie i piliśmy po kolei w środku, żeby obcy nie widzieli. Kobiety rozkładały rozdarte worki i opakowania po cemencie na świeży fundament, żeby za szybko nie wyschł. Potem przyszły nam przeszkadzać. Zaczęły pytać, jakie czary tam robimy, chyba nie pijemy wódki? Wcisnęły się między nas i biegały dookoła tak, jakby bawiły się w kółko graniaste. Zmęczenie uspokaja mężczyzn, a rozbudza kobiety i dzieci. Tak to już jest. Ja byłem poważny i spokojny, chyba od tego rzucania piasku. Kiedy trafiłem na jakąś nierówność, przewracałem się — nogi nie dawały już rady pagórkom. Marszem ruszyliśmy z powrotem do domu, w regularnym szyku — w dwuszeregu. Słońce świeciło czerwono zza wierzchołków wznieścień. Niosłem puste wiadro po grochówce i myślałem sobie o narodzie fińskim, który w końcu jest miły. Potrafi się cieszyć, jak nie z czego innego, to chociaż z pracy.

Napalono w saunie i poszliśmy się umyć. Po powrocie towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Dziewczyna założyła płaszcz i postawiła walizkę obok siebie. Zaczęło mi się spieszyć. Rozejrzałem się za plecakiem i w końcu wszyscy zaczęli go szukać. Jakaś kobieta zamknęła go na klucz w spiżarni i tam też go w końcu znaleźliśmy. Zarzuciłem plecak i pospiesznie rozejrzałem się po obecnych. Potem wziąłem

walizkę dziewczyny i ruszyliśmy na stację. Zostało nam niewiele czasu, więc dziewczyna pobiegła przodem, żeby kupić bilet. Obiecała też kupić dla mnie, co rzeczywiście zrobiła. Wsiadliśmy do pociągu i opadliśmy na ławkę. Lahti to cholernie pagórkowate miasto. Jeżeli się musi po nim chodzić. Położyłem walizkę na półce, a plecak wpełchnąłem pod ławkę. Nie pamiętam, czy miałem jakąś technikę. Jeżeli nawet miałem, to i tak nie zdążyłem jej wykorzystać; podróż była bardzo krótka, trwała zaledwie godzinę, bo jechaliśmy ekspresem. Szybkim mężczyźnie albo powiedzmy wypoczętemu, to by na pewno starczyło, żeby się chociaż dogadać.

Dojechaliśmy do Riihimäki. Wziąłem z półki walizkę dziewczyny. Mieszkała na pagórku Pa-taste, na strychu jednorodzinne domu. Domy były tam na tyle wysokie, że miały strychy. Na podwórku wzięła ode mnie walizkę, uściśnęła mi rękę i podziękowała. Ja z kolei podziękowałem jej i całej rodzinie. „Ale oczywiście wniosę ją do środka”, powiedziałem wskazując na bagaż. Odparła, że jest jej niezmiernie przykro, że nie może mnie zaprosić do swojego pokoju, ale niestety jej współmiesz-kanka jest chora. Zapytałem, czy nie zechciałaby pójść ze mną na kawę, ale zauważyła, że jest już późno i wszystkie restauracje są po- • zamykane. Poprosiłem, żeby spotkała się ze mną nazajutrz. Uśmiechnęła się wtedy zagadkowo, wzięła walizkę i weszła do domu. Ruszyłem z powrotem na stację. Miałem dokładnie pusty plecak; o ile pamiętam, nie było w nim nic innego tylko gazeta „Signal”, a między jej kartkami zdjęcie wdowy z Hameenlin-na wielkości pocztówki. Dopiero po chwili zacząłem w to wątpić i zajrzałem do plecaka. Było w nim pół kilograma masła i trzy bochenki chleba, naprawdę. Albo ktoś w spiżarni pomylił się, albo zrobił to celowo. Przyszłość zaczęła się oddalać. Wszedłem na podwórko

pierwszego dobrze utrzymanego domif. Stał przed nim maszt flagowy, który uważałem za symbol średniej zamożności. Zapukałem do drzwi.

Powiedziałem, że mam w plecaku pół kilograma niekradzionego masła, które dostałem z domu i nie uważałem za konieczne taszczyć go aż na front, tym bardziej, że był tak daleko. Bałem się, że może się zepsuć i dlatego chętnie wymienilibym je na walutę obiegową.

Kobieta wpuściła mnie do środka. Po chwili wyszedł potężny mężczyzna w okularach. Na czas rozmów zdjął okulary, żeby mnie nie widzieć. Sądzę, że był to nauczyciel szkoły ludowej, bo mówił żywo językiem pisanym i klął słowami „do stu kijów”.

Zażądałem za masło pięćset marek. Facet zapłacił zwlekając nieco i naradzając się z żoną w drugim pokoju. Potem zgasił wszystkie światła, zaciągnął mnie do drzwi i doradził taką trasę powrotu, że mu-irzedzierać przez dwa podwórka. Na tym był pies, który zaczął szczekać, ale poradził mi jak go uciszyć: trzeba powiedzieć „Nalle, Nalle, to tatuś”. Przestał szczekać. Poszedłem na stację, żeby poczekać na pociąg na północ, który był jednak tyle spóźniony, że tymczasem zdążyłbym jeszcze do Helsinek i z powrotem. Tam zauważyłem, że zapomniałem dać tym ludziom masło. Targi były takie skomplikowane, że w całym tym zamieszaniu zapomniałem o towarze.

Owszem, pamiętam, jak wyciągałem je z plecaka i że któreś z nich otworzyło opakowanie, żeby powąchać, ale potem, kiedy tych dwoje walczyło z sumieniem, które zabraniało im transakcji, masło widocznie wróciło do mnie. Teraz mają chyba czyste sumienia, pomyślałem. Moje natomiast nie było takie czyste.

Jedynym rozsądnym pomysłem wydawało mi się zniknąć z Riihimaki, bo istniało niebezpieczeństwo, że tamci zrobią na mnie donos, że jestem niby to czarnorynkowym handlarzem. Było to tym bardziej prawdopodobne, że sumienia mieli już

czyste. W końcu wsiałem w pociąg pospieszny, który był tak przepelniony, że ledwo znalazłem miejsce w korytarzu. Jakiś pijak dmuchał mi dymem papierosowym w oczy, ale nie mogłem się odwrócić, bo nie było miejsca. „Nie mógłbyś spróbować dmuchać w sufit”, zaproponowałem mu. Zdenerwował się i powiedział, że wszystkim się wydaje, że są we Wschodniej Karelii. Odparłem na to, że byłem tam wystarczająco długo, żeby w Centralnej Finlandii nikomu na to nie pozwolić. Dalej wymienialiśmy poglądy, a w Hyvinkaa wyskoczyłem z pociągu z zamiarem przejścia do następnego wagonu, ale i tam korytarz był tak samo zapelniony. Na schodach wagonu siedziało dwóch młodych ludzi: chłopak i dziewczyna. Całowali się. A niech tam, pomyślałem postanawiając poczekać na stacji do rana na następny pociąg. Nadeszło dwóch rekrutów i mówią, że w siódmym domu na lewo dają żołnierzom za darmo. „Co”?, zapytałem. „Miłość”, odparli. „A wy już dostaliście”?, spytałem spodziewając się, że dostanę w gębę. Ruszyłem ze stacji, chciałem dać chłopcom ochłonać. W jakiś dziwny sposób policzyłem jednak te domy. Koło siódmego był ruch. Brama była szeroko otwarta. Wszedłem na podwórko, a dalej z jakimś facetem do domu. Tam zobaczyłem najbardziej zwariowany widok w ciągu całej wojny. Szalona Liisa leżała na kanapie: lewa noga na podłodze, trzy poduszki pod głową i krzyczała: „Chodźcie chłopcy, chodźcie, bądźcie, kim chcecie, dla wszystkich jestem dobra. Kocham mężczyzn.” Jakiś młody sierżant siedział na fotelu u wezłowania kanapy z głębokim, porcelanowym talerzem na kolanach. W pokoju było z dziesięciu mężczyzn w tym jeden cywil. Wyciągnął mnie na korytarz i powiedział: „Tu sorzedaiia żołnierzom bez targów trypra, syfilis i cholera wie jakie jeszcze afrykańskie paskudztwo. Znam lepszy numer”. Zabrał mnie na tył budynku, gdzie jakiś rekrut walił głową o

drewnianą ścianę i kłął: „To chyba diabeł i szatan w jednej osobie, skoro system zawodzi.” Cywil wyjaśnił mi swoje zamiary i życzył obustronnej przyjemności. Odwróciłem się do niego plecami i splunałem. Facet podszedł wtedy do rekruta i powiedział: „Daj, pomogę ci”. Następnie ukląkł na ziemi. Żołnierz był na tyle pijany albo też niedoświadczony, że nie od razu pojął. Za chwilę jednak zrozumiał i facet musiał szybko wiać. „Urlopowiczów nie można w taki sposób traktować”, powiedział rekrut. Weszliśmy razem do środka. Przybywali nowi goście, starzy wychodzili. To był teatr. W międzyczasie Szalona Liisa wypła trochę. Mężczyźni patrzyli na nią w podnieceniu. Szło za szybko i w ten sposób zabijano osobistą inicjatywę. Wyszedłem na świeże powietrze kręcąc głową. Dziwiłem się, jak nisko upadło morale narodu fińskiego, chociaż prawdę mówiąc, co było w tym niemoralnego? Powinno być więcej demonstracji na rzecz moralności. Auto policyjne jechało w tamtą stronę, wieści dotarły aż na posterunek. Zaczęło mi się spieszyć. Przeszedłem mostem na drugą stronę torów. Był tam sklep i dom mojej dziewczyny. Wydawało mi się, że jest tutaj więcej miejsca i świeżego powietrza. Budynek miał taki dziwny system otwierania drzwi wejściowych, chociaż brzmi to niewiarygodnie jak na Hyvin-kaa w tamtych czasach, że gdy się nadusiło guzik obok nazwiska, to z mieszkania otwierano bramę. Urządzenie działało. W windzie próbowałem doprowadzić się do porządku i jak wdowa z Hameenlinny jechałem dwa razy na dół i dwa razy w górę. Przetarłem twarz i poprawiłem włosy. Dopiero w świetle windy zauważyłem, że mundur mam upaprany cementem, widniały na nim białe smugi. Buty też wyglądały, jakby były na Wojnie Zimowej i zostały tam pomalowane na biało. Miałem trochę nieczyste sumienie, kiedy wyrzucałem gazetę wraz z zawartością do kosza na śmieci. Wsze-

dłem do mieszkania z paczką masła w ręku. Po przywitaniu podałem masło matce dziewczyny jako prezent, narzekając jednocześnie, że nigdzie nie natknąłem się na kwiaciarnię. Uważali mnie już za zięcia i niespokojnie pytali, dlaczego zjawilem się dopiero teraz, skoro oczekiwali mnie już dwa dni wcześniej. Powiedziałem, że wydarzyła się katastrofa kolejowa. Był to doskonały pretekst, jako że w czasie wojny nie informowano o wypadkach kolejowych, żeby Rosjanie nie otrzymywali z Finlandii pozytywnych wieści. Zbliżała się spokojna noc z tatusiem. Matka przygotowała wodę i poszedłem się kąpać. W tym czasie wyczyszczono mi ubranie i przygotowano łóżko. Matka i córka szcztokowały mój mundur na balkonie, a ojciec wyczyścił mi buty zdrapując najpierw cement kuchennym nożem. Włożyłem na siebie bieliznę ojca — była po prostu czysta. Następnie przez szparę w drzwiach dziewczyna jak duch podała mi resztę ubioru, widziałem tylko jej dłoń. Była to intymna chwila i stopiła we mnie coś twardego. Dostałem jeszcze kaptcie ojca i w takim stroju usiadłem do stołu. Nareszcie mogłem spróbować już raz sprzedanego masła. Dobrze, prawdziwe letnie masło, nie pachniało już podbiałem, był przecież środek lata. Zauważałem, że nastrój był szczególnie ciepły, chyba rodzina doszła do jakiegoś porozumienia albo też coś postanowiła. Jak się nieco później okazało, rzeczywiście postanowiła, miałem rację. Ojciec zaproponował koniak, ale grzecznie odmówiłem. To zrobiło na wszystkich korzystne wrażenie, na mnie też. Czułem, że był to drugi krok we właściwą stronę. Potem tatuś i mamusia zniknęli, dziewczyna powiedziała: „Teraz chodźmy spać, tak jak już byś był...” Z pokoju gościnnego tak jak i przedtem wyniesiono kanapę. Dziewczyna położyła na niej czyste pościelenie i zrobiła dla nas posłanie. Położyłem się na jednej połowce, a dziewczyna zgasiwszy światło na drugiej. Stało się to tak n.i-

gle, że nie mogłem się otrząsnąć ze zdziwienia. Dziewczyna uspokoiła mnie mówiąc, że ojciec i matka wiedzą o naszym układzie, bo im po-powiedziała. Była u lekarza, który przekazał jej radosną nowinę: nie musimy już uważać. I tak nie uważałem, byłem po prostu zmęczony. Koniec końców doszedłem do wniosku, że najlepiej poddać się losowi; niech ściany będą ścianami, a słońce na niebie. Kiedy jednak obudziłem się, nad ranem nie byłem pewien, kto leży obok: ojciec czy córka. Dotknąłem ręką jej brody, żeby zobaczyć czy ma zarost. Nie miała. To dobrze. Dziewczyna obudziła się i powiedziała, że jej się śniłem. Słońce już wstało i ptaki śpiewały na podwórku. Filiżanki od wczoraj stały na stole. Dziewczyna wstała, żeby je schować do szafy, chociaż jej powiedziałem, że nie przeszkadzają, a przynajmniej mnie. Widziałem wiele gorszych rzeczy niż brudne filiżanki od herbaty...

*

3.

Sierżant oddziału łączności siedział bokiem przy oknie oparty o parapet. Wąskie, boczne okno było otwarte na tyle, że wylatywał przez nie papierosowy dym. Gęstniał przy szybie i ciąg powietrza w> ciągał go na zewnątrz długą na prawie dwa metry, cienką, białą smuzką tak jakby to był przezroczysty materiał. Wydawało się, że sierżant nie słucha. Dopiero co przyszedł z cywila, a tam ludzie opowiadają tylko to, co wyczytali w gazetach i szczerą otwartość musi tam być z pewnością czymś dziwnym. Wszedł sierżant artylerii. Palił małe cygara. W swym czasie artyleria zleciła mu wybudowanie fundamentów pod działą, potem został w wojsku. Teraz podnosił tylko pióro i to wyłącznie wtedy, kiedy nie pisał. Był to prawie dwumetrowy mężczyzna, ale tak szeroki w ramionach, że wyglądał na człowieka wzrostu średniego, szczególnie kiedy stał sam. Miał zmiążdżone trzy palce; kiedyś zaczął demonstrować tajemnice zamka armatniego, ale chyba musiał się zmienić typ dział albo język instrukcji. Gdy wszedł, kapral wojsk pogranicza przestał opowiadać. Zresztą dociągnął chyba swoją opowieść do końca. Sierżant zrobił się nagle rozmowny.

— Te szpitale to nic przyjemnego — powiedział.

— Można się przyzwyczaić — odparł Elomaa. Jak się tu jest trzy miesiące, to się nigdzie nie tęskni.

— Czasem tylko na cmentarz — dodał Toivo-nen.

Oddziałowa, pani Koskinen przyszła wygonić z palarni niepalących. Miała taką samą technikę uciszania, jak niektórzy nauczyciele, kiedy chcą przywrócić w klasie porządek i ciszę. Na-latuje się wtedy najostrzej na tego, który gada jeszcze, gdy inni już umilkli. Zazwyczaj też jest

to największy gaduła. W czasie długiej praktyki pani Koskinen zauważyła, że cisza wyraża najwięcej. Wszyscy się zmieszali, ktoś nerwowo wybąkał, „dzień dobry”. Niepalący wyszli, a także ci z palących, którzy akurat nie mieli papierosa w ustach. Sierżant łączności wyciągnął papierosa i zapalił; nie był jeszcze przyzwyczajony do tego, że kobieta może wykorzystywać autorytet.

Rozdano termometry i Pullukka je teraz zbierała. Uczeń-muzyk miał wieczorną gazetę. Chłopakowi pociąg obciął nogę powyżej kolana. Miał na imię Rossi.

— Ładna dziewczyna? — spytał Elomaa.

— Gdzie? — zapytał chłopak.

— Tam, gdzie teraz patrzysz.

Chłopak zaczerwienił się i odwrócił gazetę. Na fotografii była dziewczyna.

— Przedrzyj ją, daj mi jedną połówkę. Drugą możesz sobie bez trudności wyobrazić. Jest taka sama — powiedział Elomaa.

— Ty tak robisz?

— Przedzianie zdjęć to najbardziej rozwinięta pornografia. Najpierw możesz pooddzierać ręce, potem nogi. Oddzianie nóg daje najwięcej wrażeń.

— Pożycz mi ją — poprosił Toivonen. Przejrzę program radiowy może coś znaleźć.

— To jest gazeta Hurmego. Po mnie jest Va-htoranta, a po nim Hollanti — odparł chłopiec.

— A potem ja — odparł Toivonen.

— Zapytaj Hurmego.

— Hurmę jest zajęty.

Hurmę leżał na brzuchu i Pullukka klepnęła go w ramię:

— Termometr, hej termometr. Niech pan da termometr.

— Jaki termometr? — zapytał Hurmę.

Dziewczyna wsadziła mu rękę pod pachę i wyciągnęła termometr, zanim Hurmę zdążył coś zrobić.

— Żądam, żebym mógł sam go sprawdzić — zaprotestował unosząc się, żeby usiąść.

— Teraz puls — zakomenderowała dziewczyna chwytając jego nadgarstek. Miał na nim gładką, złotą bransoletę.

— Co, nie ładna bransoletka? — zapytał.

— Nie na męskiej ręce.

— Bo ręka jest owłosiona, ale przecież kot jest ładny chociaż owłosiony — wyjaśnił Hurmę.

— Ale kot to nie człowiek.

— Puls mi rośnie, gdy mnie pani trzyma za rękę. Wie pani o tym? Co najmniej o dwadzieścia.

— W takim krótkim czasie na pewno nie urosnie. Dziewięćdziesiąt sześć.

— Zawsze wychodzi parzysta liczba, na dwa albo na cztery — zauważył Hurmę. Nigdy nieparzysta.

— Czy to nie piękniej? — zapytała dziewczyna.

— Aha — potwierdził Hurmę.

Policzki dziewczyny zarumieniły się.

— Zaczerwieniła się pani — powiedział Hurmę.

Pąs pielęgniarki jeszcze bardziej ściemniał i ześliznął się dwoma pasemkami na szyję. Podeszła do łóżka Rossiego, zabrała termometr i zmierzyła mu puls. Wahala się, czy podejść do łóżka w którym leżał Elomaa. Pąs ustąpił już z jej twarzy, jedynie na policzkach widniały jego ślady. Wtedy wyglądała jak przy otwartym piecu chlebowym, teraz jakby studziła się w drzwiach wyjściowych piekarni.

— Nie mam termometru — powiedział Elomaa.

— W takim razie napiszę trzydzieści siedem.

Pullukka zaczęła mierzyć puls. Przypominało to zabawę w kotka i myszkę. Dziewczyna bała się zbliżyć, niepewnie złapała nadgarstek, a potem ■ bała się go unieść. Elomaa sam nie podniósł ręki. Pozwolił jej spoczywać bezwładnie na poduszce i patrzył obojętnie na dziewcz-

czynę prawą brew unosząc do góry, ze zmęczonym razem twarzy tak, jakby słuchał w barze opowieści szczęściarza, któremu się powiodło. Dziewczyna zacisnęła mocno dłoń na nadgarstku, a potem uniosła go w górę. Wtedy Elomaa wyciągnął wolną rękę i poprawił nią kołnierzyk dziewczyny, mimo że był całkiem w porządku. Pullukka rozluźniła uścisk i podniosła obydwie ręce na szyję. Ręka Elomaa opadła.

— Przepraszam — powiedziała dziewczyna. Nie zacerwieniła się, zbladła. — Może jestem myszką, ale obawiam się, że to jednak zabawa kota z kotem — dodała.

— Ma pani jakieś trudności? — zapytał Elomaa.

Znowu się zarumieniła. Złapała nadgarstek dwoma rękoma, nie ufała już jednej. Przymknęła oczy i liczyła puls poruszając wargami. Nagle jedną ręką złapała się za kołnierzyk — instynktowny ruch, jej ręka pozostała na szyi, zaczęła się po niej drapać. Elomaa ziewnął przeciągle. Dziewczyna opuściła jego dłoń i otworzyła oczy. Coś zapisała i ruszyła dalej, żeby zmierzyć puls Toivenena. Na chwilę przystanęła i końcem pantofla podrapała się po łydce — jak mała dziewczynka. Potem wytoczyła się z sali cicho i równomiernie jak bela materiału.

— Rarytas — powiedział Vahtoranta.

— Kto? — zapytał Toiyonen.

— Ta Pullukka. Przysmak na jeden wieczór.

— Czemu nie na dwa?

— Bo zaraz chciałyby się zenić. Dałaby ci raz, żeby potem móc cię zaciągnąć przed ołtarz.

— Dobrze znasz się na kobietach — powiedział Elomaa.

— Nie chwałę się — odparł Vahtoranta.

— No to się nie chwał.

— Mer ja jest lepsza — wtrącił Rossi.

— Doświadczona — dodał Vahtoranta.

— W czym? — zapytał Elomaa.

— Najlepsze są takie kobiety, które opowia-

dają świństwa — zaczął Toivonen. — Faceci myślą, że to kurwy, ale one są najporządniejsze. Na budowie była jedna taka cizia. Kiedy ją zagadywali faceci, to opowiadała takie bezeceństwa, że im się w głowie nie mieściło. Była pomocnikiem murarzy. Wyczytaliśmy potem w gazecie, że wyszła za mąż za jakiegoś kupca. Już nigdy nie przyszła na budowę, ten kupiec sam przyszedł po jej pensję. Kiedy cizia szła ulicą, ci faceci zdejmowali przed nią czapki ale udawała, że ich nie widzi. Ten murarz, u którego pracowała, tak się wkurzył, że nie miał nawet ochoty założyć czapki z powrotem, wyrzucił ją...

Hurmę spacerował środkiem sali obracając bransoletkę. Pewnego wieczoru zabrał ją dziewczynie która przyszła go odwiedzić. „Dostaniesz ją z powrotem, jak przyjdiesz drugi raz, będę ją miał do następnego razu”, powiedział jej wtedy. Bili się i wyklócali o tę bransoletkę całą godzinę, ale Hurmę nie oddał. Musiała iść bez niej. Piękna dziewczyna. Była nawet na okładce kobiecego tygodnika. Stała na środku ulicy obok czyszciciela rynsztoków, który właśnie wrzucił coś do ulicznej studzienki i prezentowała nowy model spódnicy wiosennej. Ojciec dziewczyny był jakimś wielkim szefem. Według opowieści Hurmego dziewczyna uprawiała balet jazzowy, co było widać po jej ruchach: stopy miała zawsze wykręcone w bok, a ręce zawsze powyżej pasa. Widać Hurmę szczególnie jej nie interesował, skoro już drugi raz nie przyszła.

— Tak się tańczy balet jazzowy — wyjaśnił Hurmę i zaczął wyginać się na środku sali.

Już nawet wieśniaków zaczęło to nudzić.

— Krew sama zaczyna się gotować w publiczności — stwierdził Toivonen.

— Jak byłem chłopcem, to miałem małą ma-rakatkę. Trzymałem ją w wojskowej stajni, ja-

ko że ojciec należał do klubu jeździeckiego. Potem dostała zapalenia płuc i zdechła. Małpy mają takie same choroby jak ludzie.

— ■ Wiesz, jak namówić małpę, żeby popełniła samobójstwo? — zapytał Toivonen.

— Zwierzęta nie popełniają samobójstw — odparł Hurmę.

— Jeden facet opowiadał, że wziął brzytwę i pociągnął nią dokoła szyi, oczywiście tępym końcem. Małpa to widziała. Potem zostawił brzytwę na parapecie i wyszedł. Małpa zaraz skoczyła na parapet, wzięła brzytwę i przejechała sobie po gardle, oczywiście ostrzem. Rozumu to za dużo nie miała.

— A co potem? — zapytał Hurmę.

— Zdechła — odparł Toivonen.

— Były jeszcze w twojej rodzinie jakieś samobójstwa? — spytał Hurmę.

— W twojej były — odciął się Toivonen.

Gong zadzwonił na posiłek. Chorzy, którzy mogli chodzić, ruszyli na przedłużenie korytarza, gdzie była jadalnia. Stał tam długi stół, a dookoła niego drewniane krzesła. Na stole leżał biały obrus. Drzwi do kuchni znajdowały się nieopodal stołu, tam sprzątaczką przywoziła windą naczynia z jedzeniem. Były to duże blaszane garnki. Kobieta postawiła jeden z nich na stole i zaczęła rozlewać nabierką do talerzy. Pomocnice — Merja i Pullukka kładły potem talerze na tace i roznosiły po pokojach.

— Nigdy nie widziałem bransoletki u mężczyzny — powiedział sierżant artylerii.

— Ja też, nie — odparł Hurmę.

Na posiłek podano zapiekankę z makaronu, na deser był kisiel z jagodami i chrupki chleb.

— Nie przejmuj się — powiedział Elomaa do Hurmego.

— Nie mogę jej zdjąć, kluczyk zginął — wyjaśnił Hurmę.

— To ma zamek? — zdziwił się sierżant.

— Ma — odparł Hurmę — ale nikt nie po-

trafi dorobić kluczyka, w każdym bądź razie W Finlandii. Nie potrafią zrobić takiego małego klucza — wyjaśnił.

— Najpierw ginie klucz, a potem nikt nie po trafi dorobić. Głupie gadanie. Jak może zginąć klucz, który nie istnieje?

Sierżant odczekał chwilę, a potem roześmiał się.

— W tym kisielu jest brom, zdrowo się chłopczy najedzcie — powiedział Elomaa.

Większość nie wzięła kisielu, takie wieśnia-ctwo. Wziął sierżant, Elomaa i Rossi. Sierżantowi łącznie jedzenie nie smakowało, poszedł do palarni, za nim pobiegł Toivonen. Chciał tam być, kiedy sierżant wyciągnie paczkę z kieszeni pidżamy, wtedy pewnie poczęstuje. Jeśli zdąży schować, to już po wszystkim. Hurmę jadł jeszcze zapiekankę. Biorąc pod uwagę jego rozmiary, musiał jeść sporo. Jego ojciec był grubą rybą. Pańskim synom o dziwo smakuje grochówka i sos na słoninie. Bierze się to stąd, że ani w domu, ani w restauracjach czegoś takiego nie jedzą. Kapral ochrony pogranicza jadł tylko kisiel, wręcz go pożerał. Nabierał tak pełną łyżkę, że za każdym pociągnięciem spływały z niej na talerz i stół cienkie strużki kisielu. Łyżka miała za każdym razem inny kurs i strużki układały się w piękny wzór. Brał kisiel zawsze ze środka talerza. Rossi wyskakiwał na jednej nodze z jadalni. Jego włosy też podskakiwały, ale z takim opóźnieniem, że zawsze w innym momencie niż on sam. Dziewczyny zaczęły znosić z pokojów brudne talerze, teraz szło im szybciej niż w drugą stronę, bo jedzenie i napoje nie rozlewały się. Merja wynosiła z izolatki pustą butelkę od wina. Wszyscy ucichli — to był wyraz autorytetu. Potem dziewczyny zaczęły sprzątać długi stół.

— Smakowało? — zapytała Merja.

Elomaa próbował przejechać ręką po jej po-

śladkach; dziewczyna odsunęła się instynktownie, miała praktykę.

— Nie smakowało? — powtórzyła.

Sprzątaczką zaczęła napuszczać wodę do zlewów z taką energią, że aż w rurach dudniło.

— Brom zaczyna działać — powiedział Elomaa.

Ktoś zwymiotował. Sprzątaczką ruszyła tam od razu z wiadrem, a Pullukka za nią. Mer ją została w kuchni. Usiadła tyłkiem na brzegu zlewu i rozcierała odkryte nadgarstki. Były teraz czerwone i zielonkawe. Zieleń tworzyła ok-rągławe wzorki. Miała złe krążenie krwi, sama o tym mówiła. Hurmę jadł kisiel dzwoniąc bransoletą o brzeg talerza.

— To prawdziwe złoto? — zapytał Elomaa.

— Ma próbę — odparł Hurmę.

— Jak się na ciebie zdenerwuje, to będzie twierdziła, że jej ukradłeś. Zabrałeś jej siłą.

— Jest tutaj, niech sobie po nią przyjdzie.

— Może się boi, że teraz jej ukradniesz złoty łańcuszek.

Hurmę trzasnął łyżeczką, że aż chlapnęło na stół. Potem wstał i wyszedł. Elomaa poszedł do kuchni i stanął tak blisko dziewczyny, że dzieliło ich zaledwie pięć centymetrów. Kiedy się odsunął, Merja objęła go. Następnie podeszła do drzwi, otworzyła je i zniknęła w ciemnościach klatki schodowej prowadzącej do kuchni. Elomaa ruszył za nią zamykając za sobą drzwi. Pewnie poszli się całować na balkon od trzepania dywanów, wszyscy widzieli, że tak robią. Były tam dwa trzepaki: jeden na zewnątrz tarasu, a drugi na jego środku, taki niski, że można było się na nim podciągnąć jedynie, jeżeli siedziało się w kucki. Niektórzy próbowali. Po około dziesięciu minutach Merja wróciła z balkonu, Elomaa dopiero dziesięć minut później. Poszedł zaraz do łóżka, położył się na brzuchu i wcisnął twarz w poduszkę. Od czasu do czasu podnosił głowę, wyciągał język i badał go ręką. Toivonen leżał przykryty na ple-

cach i wpatrywał się we własny kciuk. Miał na nim dużą otwartą ranę, która nie chciała się goić. Ktoś mówił, że sam to sobie zrobił piórem. Po co? Rossiemu nastroszyły się włosy i próbował je odgarnąć do tyłu. Jussila poszedł do łazienki i wsadził głowę pod kran. Hollanti siedział w łóżku prawą ręką trzymając się za brzuch — wycieli mu wyrostek. Pochodził z Północnej Finlandi i służył w tamtejszym garnizonie. Ich szpital okręgowy otrzymał zakaz dokonywania operacji po tym, jak dwóch facetów umarło na stole operacyjnym. Dlatego znalazł się tutaj. Lindquist leżał w łóżku na plecach i czytał *Siedmiu braci* po szwedzku. Nie umiał nawet słowa po fińsku. *Siedmiu braci* było jedyną książką po szwedzku, jaka przyjechała w bibliotecznym samochodzie. Śmiał się w trakcie czytania, ale robił Jo zawsze, nawet kiedy nie czytał. Czytałem *Zielonego Henryka* Kellera po niemiecku. Zobaczyłem to w bibliotece: stare, dwuczęściowe wydanie kieszonkowe. Było tak małe, że śmiać się chciało, gdy się na nie patrzyło, niestety odechciewało się podczas czytania. Poprosiłem Merję, żeby mi je przyniosła. Zabierałem książkę ze sobą wszędzie: do palarni, do ubikacji, na msze. Czytało się ją dobrze, była żywa i nie wymagająca, tak, że można ją było jednocześnie czytać i rozmawiać z kimś o zwyczajnych sprawach.

Nadeszła pora odwiedzin. Hurmę wyskoczył na koniec korytarza popatrzeć, czy przyszła ta jego dziewczyna. Czekał całą godzinę, a potem jeszcze kwadrans. Razem z odwiedzającymi zniknął na dole, myślał, że się spóźniła i dozorca nie chce jej wpuścić. Kiedy wrócił, zdjął bransoletę i położył ją na nocnym stoliku. Pullukka rozdawała picie na noc w szklankach. Najbardziej chorzy, to znaczy ci, których najbardziej lubiła, dostawali sok. Rossi, Hollanti i ja dostaliśmy sok. Dostałem go po raz pierwszy. Sądzę, że nie zamierzała mnie wyróżnić, po prostu nie chciała go dać komuś innemu.

— Mam chory język — powiedział Elomaa.
— ■ Naprawdę? Powiem pielęgniarce.
— Nie, niech pani nie mówi. To nic. Nie chcący się ugryzłem. Samo się zagoi.

— To straszne — powiedziała dziewczyna.
— A może pani by go obejrzała. Widać tam co?

Elomaa wyciągnął język w jej stronę.

— Nic nie widzę — stwierdziła.

Pozostała jednak przy łóżku i spoglądała

zmartwiona. Widać było, że się nieco przejęła. Elomaa odwrócił się plecami, spojrział potem przez ramię, a kiedy się upewnił, że jeszcze nie odeszła, spytał:

— Nie przespałaby się pani ze mną?

Wygląd dziewczyny zmienił się w jednej chwili. Odwróciła się na pięcie i szybko wyszła.

— Sam sobie nie przygryzłeś — powiedział Toivonen.

— Nic cię to nie obchodzi.

— Dzieci, które gryzą, nie bierze się do przedszkola.

— Idź do diabła — odparł Elomaa.

— Gryzące kobiety są niebezpieczne — nie dawał za wygraną Toivonen.

— Cholera, jak boli — powiedział Elomaa otwierając usta.

— Merja ugryzła? — zapytał Toivonen. — Co, nie lubiła twojego francuskiego stylu? Są takie kobiety, co kochają zębami.

— Cholera, uderzyłem się brodą o futrynę ■ drzwi — wyjaśnił Elomaa.

— Na pewno. Wierzę ci.

— ■ Cholera, jeszcze ci za to odpłacę — warknął Elomaa.

W tej samej chwili weszła salowa z nocnej zmiany, żeby wygonić wszystkich do umywalni. Toivonen wyciągnął z paczki jednego papierosa i poszedł do palarni. Idąc wsadził go za ucho. Salowa strąciła mu go na podłogę.

— Przepraszam ■=•«- powiedział Toivonen,

54

— Szczeniactwo — skomentowała salowa.

— Bo jestem szczeniakiem.

— Tutaj pan nie jest.

— No cóż, przepraszam — powtórzył.

Idąc dalej znowu wsadził papierosa za ucho tak, jakby nic się nie stało. Na ten widok salowa uśmiechnęła się.

Kiedy wszyscy już wrócili z umywalni, Hurmę dopiero wyszedł. Był taki elegancki, że musiał myć się sam. Kiedy wyszedł, Elomaa rzucił się na jego łóżko. Wiązał prześcieradło i poszwę w tyle węzłów, ile tylko mógł. Kiedy doszedł do koldry, z pomocą przyszedł mu Toi-vonen, zawiązali tak mocno, jak tylko mogli. Nie zauważyli, że salowa stanęła w progu. Patrzyła przez chwilę z ręką na wyłączniku, a kiedy skończyli zgasiła światło:

— ■ Dobranoc — powiedziała.

Wrócił Hurmę i zaczął rozwiązywać węzły. Odwiązywały się bardzo łatwo. Nie mógł grać cwaniaka. Musiał zamknąć gębę i udawać, że nic się nie stało. Wziął ze stolika bransoletę i zaczął ją zakładać na rękę, miał kłopoty z zamkiem — paliły się tylko nocne, czworokątne lampy tuż przy podłodze. Przyklął obok jednej z nich i męczył się stękając. Drobnny łańcuszek brzękał cicho.

— O Boże — westchnął Toivonen.

— Co ci jest? — zapytał Elomaa.

— Zgadnij.

— Nieczyste sumienie.

— Co takiego?

— Czyste sumienie.

— Do diabła, zaraz jak stąd wyjdę, pojedę do Szwecji — powiedział Toivonen. — Przy sięgałem, że już nigdy tam nie pojedę, ale tu taj nie mam żadnych szans. Myślisz, że przydent czyta wszystkie listy, jakie mu przysyła ją?

— Co? — zapytał Elomaa.

— Myślisz, że Urho czyta wszystkie listy, jakie do niego piszą?

55

— Nie wiem. Na pewno jego adjutanci najpierw je czytają a potem dają mu te najważniejsze.

—■ W takim razie mam nagrabione w papierach. Jak stąd wyjdę, to mnie zamkną.

—■ Nie wierzę. Konstytucja zabrania — powiedział Elomaa.

— Niczego nie zabrania. Gdybym napisał do prezydenta list o tym, jak to naprawdę jest, to myślisz, że by całą sprawę tak zostawili?

— Naprawdę napisałeś?

— Tak.

— Stąd?

— Ze Sztokholmu.

— To już nieco inna sprawa.

— Myślisz, że im to robi różnicę skąd?

— Co napisał -ś?

— Prezydent Republiki, Helsinki, Finlandia. Zna moje nazwisko, wie, że gdzieś jest taki facet.

— Podpisałeś się?

— No.

— Co jeszcze napisałeś?

— Mogę ci wszystko opowiedzieć. To krótka historia. Zagiąłem wszystkich badaczy ślimaków, znam wszystkie zwierzęta od najmniejszych do największych. Jak człowiek ma chęć, a nie ma dziewczyny, to się denerwuje.

— I wysłałeś mu to?

—■ Tak. Wtedy myślałem, że to dobry ;; >-mysi.

— Było ci tam aż tak źle?

— Pracowałem w barze.

— To nie musiałeś głodować.

— Nie rozumiesz. " Pomyśl. Moim zadaniem było zbieranie z sali brudnych naczyń, które potem musiałem dokładnie myć. Miałem szczotkę, którą zmiatałem odpadki z talerzy do kubła. Zacząłem czuć obrzydzenie do tego baru. Zupełnie straciłem przy tej robocie apetyt. Nienawidziłem nawet ludzi jedzących na sali. Nic wtedy nie jadłem, bo nie byłem głodny.

Czasami tylko gdy miałem wolny dzień, chodziłem do baru na dworzec.

— Płacili ci?

— Płacili, nie o to chodziło. Trafiły się po prostu zbiegi okoliczności, tego samego dnia od razu zrezygnowałem z pracy.

— Ale jednak napisałeś ze Sztokholmu.

— Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że wyjadę.

— Pokłóciłeś się z kimś?

— Z samym sobą — odparł Toivonen i zaczął opowiadać.

4

Był to taki samoobsługowy bar, w którym kasa znajdowała się na końcu długiej lady. Kasjerka nigdy nie odpowiadała mi cześć, ale dla pewności każdego ranka kłaniałem się jej i mówiłem dzień dobry. W kuchni pracowały trzy staruchy i dwóch kucharzy. Jeden z nich nazywał się Karlsson. Załatwił mi pokój w tym samym domu, w którym mieszkał, bo na początku musiałem nocować w domu wycieczkowym. Nie wiem, czy był właścicielem tego mieszkania, nie znałem na tyle dobrze szwedzkiego. Za ladą stała Linnea — jasna, dobrze zbudowana dziewczyna o wyglądzie BB; była tak piękna, że nawet najbardziej wygadany facetom mowę odejmowało, kiedy u niej kupowali. Nie chcieli nawet brać łyżeczek ze specjalnej szuflady, cholera. Każdego wieczoru, na dziesięć minut przed zamknięciem baru przychodził pewien stary, gruby burżuj. Stawał przy najbliższym stoliku i wpatrywał się w Linneę. Nigdy niczego nie kupował, gapił się tylko, a na dodatek miał wylupiate oczy. Raz wziął ze sobą przez przypadek solniczkę, przyniósł ją na drugi dzień i poprosił Linneę o wybaczenie. Potem już więcej nie przyszedł, wstydził się tej wpadki. Wszystkich dziwiło, dlaczego Linnea pracuje w takim miejscu, mnie też. Myślę jednak, że szef musiał jej nieźle płacić — była przecież najlepszym i najtańszym szyldem reklamowym.

Pewnego wieczoru do baru przyszło dwóch młodych facetów. Na plecach mieli potężne aparaty fotograficzne, na głowach czarne czapki, a na twarzy tygodniowy zarost — widać byli fotografami z gazety, chociaż takich prawdziwych fotografów trudno odróżnić od innych. Jeden z nich wziął coś do jedzenia, a drugi przy pomocy lampy błyskowej zrobił zdjęcie, na co kasjerka powiedziała, że nje wolno robić

zdjęć bez zgody właściciela. Faceci odparli, że są z dużego tygodnika i mają zamiar zrobić z Linnei dziewczynę tygodnia. Na pewno znasz ten system. Na okładce twarz, w środku zdjęcia na ulicy, w pracy i w kuchni, a na środkowej szpalcie dziewczyna w kąpielni, rozkopująca łóżko i szukająca w szafie koszuli nocnej. Z pewnością widziałeś takie zdjęcia. Może gadali ze starym, bo na drugi dzień przyszli z lampami na stojakach i po zamknięciu knajpy fotografowali Linneę. Kolorowe zdjęcia trzeba było robić w studio, więc dziewczyna poszła tam w towarzystwie kasjerki, która miała być jej przyzwoitką. Po tym jednak ich układy popsuły się. Często mówiły o honorarium, które wynosiło mniej więcej tyle, co moja dwumiesięczna pensja. Ci faceci nie zapłacili, zapewniali, że zapłaci gazeta. Któregoś wieczoru do baru przyszedł jakiś nieznany gość, chodził od stolika do stolika i sprzedawał akty Linnei. Stała na nich z ręcznikiem w ręce. Piersi miała małe, jak chłoptys ze szkółki niedzielnej, czyli mówiąc inaczej biust miała tylko z nazwy. Za to biodra miała szerokie. Na dole widać było tylko żółty puch, który nie dawał nawet cienia. Najlepsze były oczy, szeroko otwarte z pomniejszonymi źrenicami, wyglądały na ciemnoniebieskie, chociaż w rzeczywistości takich nie miała. Był w nich wyraz zaciekawienia, tak jakby szukała czegoś za szafą — może fotograf pokazał jej wtedy zza aparatu język. Na palcach miała pierścionki, jeden z czerwonym kamieniem, a na szyi niebieski krawat. Na nogach buty na wysokim obcasie, zaś podłoga pełna była rekwizytów: długa fajka, żółta piłka futbolowa, rakietka tenisowa, czarny but męski, maszynka do golenia, plastikowy kubek z pędzlem do golenia, butelka czerwonego wina, a obok niej nalany do pełna wysoki kieliszek...

Kiedy przechodziłem obok faceta, zaproponował mi zdjęcie. Popatrzyłem na nie, a nas-

tepnie wsadziłem je do kieszeni mówiąc „Jag förstar icke svenska, tack sa mycket”*. Nie miał odwagi zawołać o pomoc.

Po zamknięciu baru Linnea nie wyszła od razu, tak jak to zazwyczaj czyniła. Normalnie porywała płaszcz, wybiegała i ubierała się dopiero na ulicy. Teraz bała się wyjść. Mówiła, że ci faceci jej grozili, zadzwonili do niej i czekają na klatce schodowej. Kobiety zaczęły się ubierać, żegnać i dziwić się, dlaczego dziewczyna nie dzwoni na policję. Karlsson obiecał zająć się sprawą. Najpierw jednak zajął się pieniędzmi. Gdyby od razu wpuścić policję, to już by nigdy nie wróciły, oni by się nimi zajęli. Gdzie łązi policja, tam zaraz ginie forsa. Zadzwonił po taksówkę i pojechał z Linneą.

Kuchnia była w pełni zautomatyzowana, ale właśnie przy tych maszynach robota była cholerna. Od środków do mycia zupełnie zlaźła mi skóra. Dostałem co prawda gumowe rękawice, ale ich nie lubiłem, bo przylepiały się do dłoni. Pracowałem więc gołymi rękami. Nawet na nadgarstkach schodziła mi skóra i musiałem trzymać zegarek w kieszeni. Powiedzieli mi, że z takimi rękoma nie mogę się pokazywać klientom. Chodziłem w uniformie: biała kurtka, niebieskie spodnie i niebieska czapeczka. Coś pięknego. Dzień pracy był diabelnie długi — dwanaście, trzynaście, czasem nawet czternaście godzin. Wychodziłem dopiero koło jedenastej. Wyszedłem na podwórko, kiedy drzwi od ulicy były już zamknięte. Idę sobie i nieco się zmartwiłem — stali tam ci faceci. Podeszli do mnie i mówią: „Foto”. Udawałem, że nie rozumiem. Ogólnie panuje przekonanie, że Szwedzi są tak cywilizowani i tak zniewieściali, że nie potrafią dać w mordę, ale to jest tylko nieprzenie. Właśnie oni dopiero potrafią: nie walą na oślep, nie machają i nie zdają się na szczęście. Stosują technikę. Kiedy próbowałem

* szw. Nie znam szwedzkiego. Dziękuję bardzo.

zrobić unik, upadłem plecami na asfalt. Było to najzwyczajniejsze pozorowane uderzenie, ale tak pięknie wyprowadzone, że kiedy je wyminąłem, to nie mogłem utrzymać równowagi i przewróciłem się. Gdybym się nie odsunął, trafiłoby mnie prosto w oko. Zrobiłem jednak ten unik. Na ziemi zaczęli walić mną o asfalt. Jeden trzymał mnie za włosy żeby nie mógł podnieść głowy, a drugi usiadł mi na brzuchu i bił mnie po głębie. Myślałem, że mi głowę rozwałą. O tych dziesięciu koronach nic nie mówili, pozwolili mi je zatrzymać, a teraz bawili się za nie moim kosztem. Byli przyzwyczajeni do tanich rozrywek, bo za dziesięć koron miały te sku. rwiele rozrywkę na cały wieczór. Przestali mówić o zdjęciu, mogli ich sobie narobić w łazience, kiedy chcieli w takich ilościach, jakie można sprzedać.

Skończyli bardzo elegancko. Potem nadeszło dwóch facetów i podnieśli mnie. Jeden poświecił mi latarką w twarz, a drugi pokazał małe, kieszonkowe lustro. Nie miałem odwagi się przyjrzeć. Pomachali mi, powiedzieli cześć i poszli dalej. Wydawało mi się że moja twarz jest pięć razy większa niż przed chwilą i jeszcze rośnie. Nie mogłem jej dotknąć ręką, tak bolało, bałem się, że krew popłynie mi po palcach.

Rano poczekałem na klatce na Karlssona, żeby mu powiedzieć, co mi się przytrafiło. Schodził razem z Linneą, a ściślej mówiąc, szedł dwadzieścia stopni za nią, namawiał ją do czegoś, pokazywał coś palcem, zwracał się do niej po imieniu i opowiadał, że na dworze jest piękny ranek. Przechował ją w bezpiecznym miejscu, czyli w swoim mieszkaniu. Linnea nieźle się zataczała. Myślałem, że może jest czymś zahipnotyzowana. Widać ją to wzmacniało, bo wcale nie wyglądała na opuchniętą. W każdym razie schodziła na dół, nie widziała tylko, którą nogę stawiać najpierw. Zanim zrobiła krok, obydwoma stopami próbowała

brzegów stopni. Karlsson zbladł, kiedy mu powiedziałem, co wydarzyło się wieczorem. Kazał mi zadzwonić na policję. Powiedziałem, że nie ma po co, bo i tak nie uwierzą, że ktoś na mnie napadł. Byłem Finem i będą twierdzić, że to ja na kogoś napadłem. Nigdy nie czytałem w szwedzkiej gazecie, żeby ktoś napadł na Fina. Karlsson zabrał mnie do taksówki, po którą już wcześniej zadzwonił. Usiadłem z przodu, a kucharz z dziewczyną z tyłu. Zgodziła się wsiąść dopiero, kiedy Karlsson odsunął się o dziesięć metrów i odwrócił się plecami. Kiedy już siedział, wyciągnęła ze spódnicy agrafkę i odpięła ją. Karlsson był na tyle przestraszony, że bał się wsiąść z taksówki, zanim nie sprawdziłem na rogu i na podwórku, czy tych facetów tam nie ma. Wieczorem, kiedy na mnie napadli, padało, ale przestało padać, gdy mnie podnosili. Na asfalcie wyraźnie było widać suchą plamę w kształcie człowieka. Może się mylę i podwórko było całe suche, może, był przecież listopad.

Pod wieczór przyszli ci faceci popatrzeć przez okno. Zaglądali do środka i prześcigali się w robieniu głupich min. Wysłali jakiegoś chłopaczka z listem do Linnei. Widziałem, jak go czyta i chowa potem do kieszeni fartucha. Po zamknięciu wyszedłem na podwórko, żeby za-p ilić przed rozpoczęciem zmywa-nia. Ciągnęło mnie tam. Tym razem wychodził tamtędy Karlsson z Linneą, ona go o to poprosiła. Szedł przodem jako zwiadowca. Faceci schowali się za rogiem i wyskoczyli na niego. Przewrócili go, pobili i pokopali. To był ich styl. Linnea stanęła z boku z rękoma w kieszeniach i patrzyła. Kiedy Karlssonowi spadł z głowy kapelusz, podniosła go i wyrzuciła do kubła na śmieci. Potem faceci poszli sobie, a Linnea razem z nimi. Poszedłem pomóc kucharzowi, ale za bardzo się nie spieszyłem — dałem mu najpierw dojść do siebie. Wyszedłem na ulicę zobaczyć, czy tamci już zniknęli. Przywołali tak-

sówkę. Linnea śmiała się jak mała dziewczynka, z daleka nie brzmiało to może zbyt szczerze, ale z daleka nic nie jest szczerze. Wróciłem na podwórze uspokojony. Jak widać podchodzili do sprawy spokojnie. Pomogłem Karlssonowi podnieść się i zaciągnąłem go do kuchni. Podtrzymałem go, kiedy mył twarz. Zapytał, czy słyszałem śmiech Linnei, kiedy go bili, na co odparłem, że nie. Powiedział, że on słyszał. Stwierdziłem, że był bliżej. Potem razem poszliśmy na podwórze, poszukać jego stetsona, ale bez rezultatów. Dopiero w Finlandii przypomniałem sobie nagle, że dziewczyna wyrzuciła go do kubła.

Rano Linnea przyszła pożegnać się z obsługą i wcale nie wyglądała na zapłakaną. Ufar-bowała sobie włosy na czarno albo też to noc ją tak zmieniła. Zaproponowała Karlssonowi dziesięć koron za nocleg, ale nie wziął. Wtedy zwróciła się do mnie. Wziąłem, bo chciałem mieć po niej pamiątkę. Wziąłbym nawet pustą puszkę po śledziach, gdyby mi dała. Ci foto-grafowie czekali na nią przed barem w taksówce i trzy razy krzyknęli „hurra”, kiedy wyszła na ulicę. Chód miała piękny jak ryś. Kiedy samochód ruszył, pomachała nam ręką przez tylną szybę. Wszyscy z wyjątkiem Karls-sona staliśmy w oknie, żeby popatrzeć.

Wieczorem kiedy Karlsson szedł do domu, zabrał mnie ze sobą jako straż przyboczną. Chętnie się na to zgodziłem, bo mogłem dzięki temu zaoszczędzić sobie zmywania garnków. Poprosił, żebym dla pewności zajrzał do mieszkania — dał klucze Linnei i bał się, że czekają tam ci faceci. Został w taksówce i powiedział do kierowcy: „Następny adres to najbliższy posterunek policji. Mówię to panu już teraz, żeby uniknąć niejasności, jeżeli coś się zdarzy i z jakiegoś powodu znajdę się w takim stanie, że nie będę mógł panu tego powiedzieć”. Taksówkarz patrzył na niego we wstecznym lusterku, potem odwrócił się i popatrzył po-

nad oparciami. Podejrzewał, że lusterko kłamie. Poszedłem na górę. Karlsson zapłacił za taksówkę. Taksówkarz wysiadł z wozu i chodził dookoła badając go dokładnie, zajrzał nawet pod spód tak, jakby się czegoś obawiał. Prawą rękę trzymał bez przerwy w prawej kieszeni spodni. Podejrzewam, że miał tam pistolet, bo kiedy Karlsson odwrócił się do niego plecami, zaraz w niej grzebał.

Kucharz zaprowadził mnie do swojego mieszkania. Na ścianach pełno było zdjęć dziewczyn. Wszystkie wisały do góry nogami, zdjęcia w pozycji stojącej wisały poziomo, a te, na których dziewczyna leżała, pionowo. Na parapecie leżała lornetka, a pod łóżkiem stał magnetofon. Taki to był dzieciak. Zaciągnął łańcuch na drzwiach, wyciągnął spod materaca butelkę koniaku i ciągnął z niej tyle, ile mógł jednym łykiem upić. Mnie nie poczęstował, może sądził, że potrzebuje całej odwagi, jaka jest w butelce. Własnej bowiem nie posiadał. Uważnie rozejrzałem się po pokoju. Na ścianie zauważyłem damskie spódnice i futro na' wieszaku, wszystko przykryte folią. Sprawdziłem, czy futro jest miękkie. Nie było. Na podłodze leżała torba Linnei z wizytówką. Karlsson podniósł się i zaczęła mu wracać odwaga. Rozdarł folię i rozrzucił spódnice po pokoju. Futro rzucił na podłogę w korytarzu i wytarł sobie w nie buty. Potem próbował otworzyć torbę zapalną, ale bezskutecznie. Nikomu się to nie uda, drewno nie wygra z żelazem, nawet jeżeli ma na końcu siarkę. W końcu z zimną krwią rozdarł torbę. Wysypała się z niej bielizna i kupa listów. To oczywiście mamusia u-dzielała dziewczynie porad życiowych. Gangsterzy mieli zabawę na wiele wieczorów, jeżeli je czytali. Długo się nad nimi nie zatrzymałem, bo zaczęło mi się spieszyć. Pomyślałem, że ze względu na futro faceci nie będą długo zwlekać. Zima była bardzo blisko, a w Up-psali spadł już nawet śnieg. Ruszyłem do wyjś-

cia i starannie przekroczyłem próg, żeby czasem nie dotknąć podeszwą futra. Byłem pewien, że tym razem Karlsson nie wymiga się samym mordobiciem. Jakby sam to nagle zrozumiał, bo zaczął upychać listy w torbie. Kiedy układał w niej bieliznę, zebrało mu się na płacz i wycierał łzy w koszule dziewczyny. Pomachałem mu ręką, ale nie zauważył, mimo że patrzył wybałuszonymi oczami gdzieś obok mnie w korytarz. Z pokoju korytarz wyglądał strasznie, tak jakby sufit i podłoga zwały się na siebie. Zamknąłem szybko drzwi. Poszedłem do siebie i cały wieczór nasłuchiwałem, czy na górze zaczęła się strzelanina. Dlatego też nigdzie nie wyszedłem z tego bajzlu, chociaż koło pierwszej trzech facetów i trzy dziewczyny mocno tego sobie życzyli, ja zresztą także.

Mieszkałem w jednym pokoju, byłej sali bilardowej, z dwoma Turkami i dwoma Węgrami. Na podłodze było jeszcze widać ślady stołu bilardowego, a na ścianach wisiały brązowe tablice. Węgrzy grali na skrzypcach w wesołym miasteczku, a Turcy pracowali w magazynie jakiejś spółki. Kiedy wróciłem tego wieczoru, w domu byli obydwaj Węgrzy i jeden Turek. Turek miał gościa ■— szwedzką dziewczynę. Prawdziwa maszyna: krótkie nogi, czarne włosy — prawdziwie turecki wzór piękności. Miała tak grube łydki, że nie mogła nawet założyć nogi na nogę. Kiedy się na nie patrzyło, to się człowiek uspokajał. Węgrzy grali na wyścigi. Jeden z nich był stary, drugi zaś młody. Zawsze mi się zdawało, że ten stary gra szybciej, nawet jeżeli grali ten sam kawałek. Był już w takim wieku, że robił wszystko tak, jakby finiszował. Kiedy osiągnęli taką szybkość, że nie było widać smyczków, przestali grać i wyszli. Wyczerpały się możliwości skrzypiec, więc musieli iść poszukać innego instrumentu. Turek systematycznie posuwał się na ścieżce miłości. Miał jednak turecką me-

tode; przewrócił dziewczynę w łóżku na plecy i usiłował jej zdjąć spodnie. Nie pozwalała na to, trzymając je obydwoma rękoma. Turek zaczął ją wtedy łaskotać pod pachami, ale nie była z gatunku tych, co mają łaskotki. „Per-wersja”, powiedziała. Miała na sobie jeszcze palto, bo należała do tych kobiet, które dzięki temu uważają się za moralne. Turek jednak wcale nie był perwersyjny, więc się na nią zdenerwował.

Zdjąłem czapkę, skórzaną kurtkę i powiesiłem ją na wieszaku. Potem położyłem się jak długi na łóżku. Butów nie zdejmowałem, bo diabelnie zwiększają ufność w siebie i odwagę, wie się wtedy, że można szybko wiać. Wrócili Węgrzy. Z najbliższego baru czwartej kategorii przyciągnęli dwie fińskie dziewczyny. Jedna była ciemna, druga jasna, chociaż nie wiadomo czy z natury. Turek zaczął demonstrować Szwedce odwagę. Zapalił papierosa, a następnie zgasił go na ręce. Węgrzy zaczęli grać swoim wybrankom sentymentalną muzykę. Na próżno, dziewczyny wcale się nie wzruszyły. „Myślisz, że to jacyś dobrzy grajkowie?”, zapytała ta ciemna. „Nie wiem”, odparła jasna. Węgrzy potrafili grać do ucha, szczególnie kobietom i jednocześnie zagładali im w dekolty. To była ich choroba zawodowa. Następnie odłożyli skrzypce -i przeszli do białego wina. Pili z kubków do mycia zębów przyniesionych z łazienki. Tak Węgrzy, jak i Turcy myli co pewien czas zęby, zawsze któryś z nich był w tym celu w łazience. Używali też dużo brylantyny, ciągle mieli błyszczące włosy. Opróżniali butelkę w dwa dni. To samo zauważyłem w Finlandii. Faceci, którzy pochodzą gdzieś z Kainuu albo Północnej Karelii, z biedy, zużywają cholernie dużo wody do włosów i myją zęby cztery razy dziennie. To jest wynik migracji. Patrzą tacy na wsi w gazetę i widzą, że na co drugiej reklamie faceci i babki .leją sobie na głowę wodę, a na co trzeciej

cała rodzina stoi nad zlewem i szoruje ząbki. To od tego.

Węgry i dziewczyny pili parami, ciemna piła z tym starym. Rozmawiały bez przerwy po fińsku, nie zauważając mnie. „Myślisz, że są w porządku?”, zapytała jasna. „Nie wiem”, odprąła ciemna. „Muszę iść do ubikacji”, powiedziała jasna i wyszła na korytarz. Węgry chyba pomyśleli, że chce zwać. Pobiegli za nią i zaczęli na przemian całować ją po rękach uspokajając jednocześnie. Wróciła z nimi do pokoju. „Nie chcą mnie nawet puścić do łazienki”. „Taki to wolny kraj”, skomentowała ciemna. Skutek tego manewru był taki, że Węgry przerzucili się na whisky. „Nie są wcale tacy do niczego”, zauważyła wtedy jasna. Młodszy wykręcił z sufitu żarówkę i schował ją do kieszeni. „Ten śmierdzi starością. To jakiś zboczeniec, drapie mnie gwoździem”, powiedziała ciemna. Uderzyła starego w policzek, że aż klasnęło. Węgier złapał ją za rękę i uderzył się nią po twarzy. Przez okno wpadało tyle światła, że mogłem ich obserwować. „Nie tak”, zaprotestowała ciemna. „Chcę widzieć, z kim się zadaje”. Podskoczyła do drzwi i otworzyła je. Na korytarzu zawsze paliło się światło, w dzień i w nocy. Nie wiem nawet, gdzie był wyłącznik, może w ogóle nie było. Sądzę, że było to jedyne przyzwoite miejsce w całym budynku. Węgier wkręcił żarówkę i przeprosił. Wszyscy poczuli się jak ludzie. Szwedka uwolniła nogę spod pachy Turka. Jak ją tam wsadziła, tego nie wiem, bo musiała to chyba zrobić w czasie zaciemnienia. Zaczęła spacerować po pokoju utykając na nogę, która widać jej ścierpła w tej szczególnej pozycji. Starszy Węgier podszedł do mnie, rzucił mi banknot i powiedział: „Cigaretter”, chciał zapewne, że bym sobie poszedł, ale nie miałem ochoty się ruszać. Po dziesięciu sekundach zabrał banknot, ale odebrała mu go ta ciemna. Popatrzyła i oddała mu go "z powrotem mówiąc: „Nic nie warte,

to jakieś jugosłowiańskie". Finki podniosły się i wyszły. Węgrzy, którzy się jeszcze nie uspokoili, ruszyli za nimi.

Turek podszedł do mnie i zaczął coś szeptać. Potem zgasił światło. Odczekałem pół minuty i zapaliłem je. Turek nie miał na sobie zupełnie nic. Szwedka wsadziła między kolana poły płaszcza, a potem związała je na brzuchu. Należała do takich szwedzkich dziewczyn, które wyspecjalizowały się w Turkach i typie bałkańskim. Turek ponownie zgasił światło i znowu musiałem je zapalać. Uniosłem rękę do wyłącznika, ale trzymał na nim dłoń. Pomacałem palcami i trafiłem na jego nadgarstek. Cofnąłem rękę, wyciągnąłem się na łóżku i patrzyłem, co będzie dalej. Z zewnątrz wpadało tyle szarego światła, że miałem wrażenie, iż oglądam kiepski, francuski kryminał. Ten, który oglądałem był może nawet niezły, ale cholernie długi. Mimo że był niemy, nie uroniłem z niego ani chwili. Bili się o jej płaszcz jakieś pół godziny; za dobrze go nie widziałem, bo był czarny. Widziałem tylko Turka: raz klęczał na łóżku, raz na podłodze, parę razy obszedł stół, potem schował się pod niego, w końcu poszedł do łazienki napić się wody. W tym czasie dziewczyna zdjęła palto, włożyła je na wieszak i powiesiła na haku w korytarzu. Zostawiła otwarte drzwi i widziałem ją jak w świetle błyskawicy. Turek po powrocie z łazienki był wyraźnie ucieszony. Zaczęli walczyć o pozostałe części garderoby. Były takie mocne, że nie mógł ich podrzeć, wszystko było tkane. Rozciągał je jak akordeon. Miała ich na sobie coraz mniej — zapal Turka rósł. Szwedka była zawsze w złej pozycji i musiał nią umiejętnie obracać. Usiłował związać jej ręce i nogi, ale zawsze kiedy założył odpowiedni chwyt, uwalniała się z niego jakimś przedziwnym sposobem. Była lepszym zapaśnikiem niż on, tak jak każda kobieta, jeżeli tylko chce. Zawsze gdy udało jej się wyrwać, śmiała się szatańsko.

Turka wyraźnie denerwowało, że musi nią rzu-jak piłką, żeby ją obrócić we właściwą stronę. W końcu poddał się. Położył się jak długi na łóżku i szlochał. Dziewczyna wdrapała się i położyła obok niego. Od tego momentu zacząłem gorzej widzieć. Nie była to wyłącznie wina moich oczu: postacie zlały się i obraz zrobił się niewyraźny. Bryła zmieniała kształty jak nietoperz, którego można czasami zobaczyć rano na ogrodowym stole. Gdy się go kłuje patykiem, obraca się na wszystkie strony, rozciąga się, macha skrzydłami tak, że nigdy nie wiadomo, gdzie ma przód a gdzie tył i czy w ogóle ma jakiś kształt, lepiej sprawdzić w podręczniku zoologii. Dołączyły do tego również efekty dźwiękowe przypominające ugniatanie ciasta. Wyglądało to tak, jakby gospodarz, silny jak niedźwiedź, zdenerwował się na żonę, kazał odsunąć się jej i dzieciom na bok, a sam zabrał się za ugniatanie. Od czasu do czasu z plaśnięciem uderzał ciastem o blat, a kiedy jeszcze bardziej zdenerwowany chciał już to skończyć, walił nim z całej siły o stół. Dziewczyna zaczęła kopać w ścianę z taką energią, że aż posypał się tynk. Po chwili przestała, ucichło i powiedziała: „Tyst nu”.* Turek poszedł do łazienki napić się wody. Wypił trzy szklanki, a w każdym bądź razie trzy razy nabierał. Dziewczyna stanęła przy oknie studząc sobie rozgrzane czoło o zimną szybę.

Wrócił drugi Turek i zapalił światło. Dziewczyna przywitała go mówiąc: „God afton”. Pierwszy Turek wrócił z łazienki, ocenił sytuację i zgasił światło. Drugi się rozebrał. Była pierwsza. Wrócił z kina. Lubił kino, we wszystkich kieszeniach miał przedarte bilety. Wpadały mu na podłogę, na ulicę i na schody. Jak trafił na dobry film, to oglądał go bez końca. Na jeden z Sophią Loren chodził sześć tygodni. Wydawało się to może nieco dziwne, ale szyb-

* szw. Teraz cicho.

ko można się do tego przyzwyczaić. Był uczciwym Turkiem, jeżeli kogoś lubił, to lubił, a jak nie lubił to lał w mordę. Też był zapaśnikiem. Obydwaj byli. Najlepsze lata mieli już za sobą, ale sztukę jeszcze znali. Nadal byli silni i rzeczywiście wyglądali na zapaśników. Gdy szli do fryzjera, to musieli zdejmować koszule, żeby fryzjer mógł im obciąć włosy na szyi, rosły im aż między łopatkami.

Dziewczyna weszła do łóżka i zakopała się w pościeli. Turcy zrobili to samo. Potem już wszystko działo się pod kołdrą, widocznie Szwedka się wstydziła. Po pewnym czasie zgłodnieli i zabrali się do jedzenia kielbasy. Była mniej więcej metrowej długości, więc przełamali ją na pół. „Har ni cigaretter?”*, zapytała dziewczyna siadając na brzegu łóżka. Zrobili przerwę na papierosa. Turek, który przyszedł później, nigdy nie używał popielniczki. Zdmuchiwał popiół z taką siłą, że zanieczyszczał nim powietrze. Następnie gasił papierosa o ścianę i przylepiał peta pod łóżko za pomocą śliny. „Jag maste ga hem”**, powiedziała dziewczyna, co wywołało sprzeciw Turków. „Noch einmal”*** — domagał się ten, który przyszedł później. Dziewczyna poprosiła o picie. Turek przyniósł z łazienki wody w kubku do mycia zębów i podał jej. Obydwaj byli abstynentami. Upiła nieco, a resztę wylała mu na głowę, co rozśmieszyło go tak, że zachłysnął się własnymi łzami. Potem zaczęła się ubierać. Nie spieszyła się: po nałożeniu każdej części garderoby chwilę odpoczywała. Turcy zapalili światło, żeby lepiej widzieć przedstawienie. Był to taki odwrócony strip-tease, który podnieca może w Tierra del Fuego, ale na nich też działał. Kiedy założyła płaszcz, wyglądała wspaniale. Wyciągnęła z torebki banknot i upuściła go na stół, kiedy jednak złapała klam-* szw. Macie papierosy? ** szw. Muszę już iść do domu. *** niem. Jeszcze raz.

kę od drzwi Turcy ruszyli do dzieła. Na tę chwilę właśnie czekali. Złapali dziewczynę, przyciągnęli z powrotem i zaczęli ją rozbierać. „Zawołam policję!”, zagroziła, chociaż nie wiem, czy chciała wołać, czy też mnie zostawiła to zadanie. Turcy nie zgasili światła, więc zrobiłem to sam, bo miałem już tego dosyć.

Okolo czwartej wrócili Węgrzy i Szwedka zaczęła się ubierać. „Vad an klokan?”*, zapytała. „Szósta”, odparł jeden z Turków. Była czwarta. Dziewczyna naciągnęła na nogi pończochy i założyła płaszcz. Pozostałe części garderoby upchnęła w torebce. Wychodząc zostawiła otwarte wszystkie drzwi. Węgrzy i Turcy wystawili swoje nerwy na ciężką próbę. Czekali, czyje wcześniej zawiodą, czyli kto je zamknie. Wszyscy mieli mocne nerwy i nie zrobił tego żaden z nich. Może byli -przywyczajeni spać przy otwartych drzwiach wejściowych, chyba w ich krajach była taka tradycja, dobra, jeżeli chce się oszczędzać drzwi. Zamknęła je roznosicielka gazet, bo inaczej nie mogłaby wsadzić gazety przez otwór na listy. Podniosłem ją i przeglądałem w łazience. Zaraz na pierwszej stronie było zdjęcie prezydenta, uśmiechał się szeroko tak, jak człowiek, który wie wszystko. Pomyślałem, że o tym na pewno nie wie i napisałem ten list.

Karlsson przeżył jednak noc. Rano stanął za drzwiami i dusił ręką dzwonek tak mocno, że wpadła mu w rezonans. Przed domem czekała taksówka i pojechaliśmy do pracy. W ręce miałem list i Karlsson obiecał go wysłać. Dał kierowcy dwie "korony, kazał mu kupić znaczek i załatwić sprawę. Zapomniałem jednak dać go taksówkarzowi. Nie mogłem znieść, że leży u mnie w kieszeni i sam. go wysłałem wieczorem. Bałem się, że jeżeli przejedzie mnie samochód albo zginę w jakiś inny, nie mniej naturalny sposób, to posądzą mnie o samobój-

* szw. Która godzina?

stwo, miałem przecież ten list. Pomyśleliby, że to mój testament, a wtedy nie daliby matce odszkodowania za wypadek, o ile oczywiście potrafiłaby się o takie starać, a przecież nie zginąłbym z własnej winy. Niczego nie byłem pewien, wszystkiego miałem dosyć i chciałem z tym skończyć. Udało mi się to dosyć gładko. Zaraz rano poszedłem do szefa na rozmowę i zażądałem zaległej wypłaty. Powiedziałem mu, że matka jest ciężko chora i muszę wracać do Finlandii. Z nikim się nie pożegnałem, wyszedłem postanawiając zabrać swoje rzeczy. W domu grali Węgrzy. Siedzieli na krzesłach, a na stole stały pełne butelki piwa. Jak się nauczyli kawałka, to otwierali butelki, które były dla nich nagrodą. Wziąłem z wieszaka plecak i wyszedłem. Na statku wkurzało mnie towarzystwo i zostałem na pokładzie, chociaż padało. Kiedy przyszli rzygać przez burzę, powiedziałem im, że jest straszny sztorm — dziesięć w skali Beauforta. „Naprawdę?“, dziwili się patrząc na morze. Było zupełnie spokojne.

— Wiesz, dlaczego wypadłem przez okno? — zapytał Elomaa.

— Bo piłeś kolońską — odparł Toivonen.

—•» Ale dlaczego wypadłem przez okno, przecież mogłem bardziej naturalnie spaść z łóżka albo ze schodów. Dlaczego akurat przez okno?

— No dlaczego?

— Przez kobiety, cholera.

— Rozumiem. Chciałeś się zabić. Co to były za kobiety?

— Miejscowe.

— Były tam na podwórzu?

— Nic nie rozumiesz. To cała historia.

— Oczywiście — powiedział Toivonen. — Kobiety lubią długie opowieści.

5.

Pewnego razu szedłem sobie wiejskim traktem. Nagle do okna domu przy drodze podeszła jakaś kobieta, oparła się o parapet i zapytała: „Nie napiłby się pan choraży kawy?“. Był to taki zwykły dom, jakich wszędzie pełno. Na podwórku trzy brzozy w rogu rabarbar, a dookoła płot z wysokiej na dziesięć metrów jarzębiny. Poszedłem z ciekawości. Czytałem o takich przypadkach, ale nie za bardzo w nie wierzyłem. Na stole stały dwie filiżanki, a na srebrnej tacy leżały ciasteczka. Usiadłem na sofie, a kobieta na stołku. Była dobrze zbudowaną ciocią w najlepszych latach. To znaczy, uważam, że kobieta jest "w najlepszym wieku, kiedy kwitnie ostatnimi kwiatami. Wydzielają wtedy upojny zapach, mimo że są małe i rzadkie. Jej jednakże nie były ani małe, ani rzadkie. Używała silnych perfum, które na początku wydawały się kiepskie i śmierdzące, ale jak się nimi zaciągnęło z pięć razy, to się człowiek przyzwyczajał i miał wrażenie, że jest w niej w środku. Kiedy zamknąłem oczy, widziałem, jak się unoszą: były zupełnie niebieskie, a niebo nad nimi żółte. Ubrana była w czerwony szlafrok haftowany w romby. Łatwo byłoby w nią celować. Na nogach miała czarne skarpety powyszywane w paprotki i czerwone pantofle przyozdobione białymi, wełnianymi pomponami wielkości piłki futbolowej. Ach, co za kobieta. Kiedy założyła nogę na nogę opadały jej połyskujące szlafroka, dzięki czemu obejrzałem sobie jej uda. Czasem widuje się takie u starszawych kobiet na plaży. Te były jednak wzorowe: gładkie i bardzo opalone. Była z nich dumna. Potem łydki, szerokie, błyszczące. Były mniej więcej takie jak u kobiet Aaltonena, ale miała za to zgrabne kostki. Rękawy szlafroka były tak obszerne, że kiedy ruszała rękoma, to migają w nich piersi, poka-

zywały się jednak na krótko, bo gestykulowała bardzo żywo. Miałem wrażenie, że bierze mnie za kogoś innego. Czekałem w nadziei, że jakiś żołnierz pojawi się na rowerze we wsi i będzie wzywał wszystkich do garnizonu, tak jak to bywało, gdy ktoś narozrabiał. Nie było jednak słyhać nic poza dzwonieniem okręłolistnych dzwonek oraz brzęczeniem much i os latających po werandzie.

Na ścianie naprzeciwko mnie wisiała fotografia z portretem oficera w randze kapitana. Patrzył jakieś pięć centymetrów ponad moją głowę. Wstałem, żeby mu zaszalutować, ale nadal patrzył pięć centymetrów wyżej. Był wysoki. Miał taką minę, jakby wymagał, żeby się porządnie zachowywać, co zresztą robiłem. Mówią, że człowiek potrafi się zachować, gdy zachowuje się grzecznie, ale brzydkie zachowanie też wymaga sztuki i to jeszcze jakiej, szczególnie jeżeli chce się to robić dobrze i w przyjemny sposób. Tak właśnie należy się zachowywać w stosunku do kobiet. Zazwyczaj żołnierze posiadają taką umiejętność, takiego bowiem sposobu zachowania przestrzega - się w wojsku. Wtedy jeszcze tego nie potrafiłem.

„Mamy tak obrośnięte gałęziami polana, że nie możemy ich nawet porąbać. Nie pomógłby pan?“, zapytała nagle. „Oczywiście, z przyjemnością“, odparłem zrywając się na równe nogi. Muchy uspokoiły się, ale na widok nadchodzącej gospodyni, zabręczały z radości i rzuciły się w jej ramiona. Potem otoczyły mnie. Staralem się zachowywać spokojnie, żeby nie zrobić im krzywdy.

Wyszliśmy przed drewnię. Stał tam pie-niek do rąbania, a w nim siekiera. Pod ścianą szopy leżało kilkadziesiąt krótkich, grubych brzoźowych polan. Wyciągnąłem siekiere, wyszukałem polana z największą ilością gałęzi i postawiłem je pionowo na pniu. Kiedy mu się lepiej przyjrzałem, zauważyłem, że już wcześniej próbowano je rozłupać. Pełno było

na nim śladów siekiery i końce miało zupełnie obdarte. „No, wygląda pan na silnego”, stwierdziła kobieta zakładając ręce. Wziąłem zamach aż zza ramienia. Ostrze siekiery obłuźniło się i poleciało gdzieś z gwizdem. Uderzyłem się lekkim trzonkiem w gołeń, na co kobieta wybuchnęła takim śmiechem, że aż zatrzęsała pośladkami. Zbłąźniłem się i poprosiłem o wybaczenie. Zaczęliśmy szukać ostrza w krzakach. Całe podwórko było jednym wielkim buszem, w którym można by z powodzeniem nakręcić film o wyprawie zwiadowczej. „Tam poleciało”, powiedziała przebijając się przez malinowe krzaki gdzieś głębiej. Chociaż miałem wrażenie, że poleciało zupełnie w innym kierunku, poszedłem jednak za nią. Wyszła zza krzaka i stwierdziła: „Jesienią, jak się ziemia odkryje, to się na pewno znajdzie”. Wiedziałem, że jesienią mnie już tam nie będzie i przestałem się tą sprawą interesować. „A może by, się znalazło, jakby drugą siekierką poszukać?”, powiedziała. Patrzyłem na nią jak głupi, ale nie zrozumiałem, o co jej chodzi. „Uderzyć metalem o metal, to dzwoni”, wyjaśniła. „Chyba tak”, potwierdziłem. „Jutro też jest wieczór”, zakończyła żegnając się i podając mi rękę. Zrobiła wtedy taką żalostną minę, jak żegnający się nauczyciel.

W nocy zaczęło mnie gryźć sumienie. Pomyślałem, że chyba jednak nie zaprosiła mnie tylko po to, żebym narąbał drzewa. Postanowiłem, że już nigdy nie pójdę w tamtą stronę. Łatwo było postanowić. Nazajutrz spotkałem na drodze dwóch ornitologów. Obydwaj badali ptaki. Torby mieli pełne literatury fachowej, własne lornetki i kupę notatek. Szli wąską, leśną drogą, wyciągnęli zeszyt, ołówek i coraz więcej zapisywali. Jak już się raz zaczęło notować, to skończyć nie można, traci się tylko pamięć. Poza ptakami nie istniało dla nich nic. Widzieli je wszędzie: w lesie, na polu, na jeziorze, na drodze i we wsi. Po drodze machali rękoma, zatrzymywali się co chwilę i kazali być cicho,

choćby nie wiadomo co ważnego miałyby się do powiedzenia. Gdzieś był ptak, jeszcze nie wiedzieli gdzie, ale musieli to zbadać. Gdy ktoś-rędyś przechodzili, zapisywali w zeszytach, rodzaj i ilość ptaków, jakie na tym obszarze widzieli. Twierdzili, że jest to spis. Liczyli, a może liczyliby w ten sposób wszystkie ptaki w Finlandii, chociaż w tym, co mówili nie było żadnego jasnego systemu.

W pewnej chwili wyraźnie poczułem, że nie powinienem z nimi być. Odwróciłem się i ruszyłem biegiem w zamieszkałe okolice, żegnany przekleństwami. Kierowałem się w stronę tego domu. Wszedłem na podwórko. Drzwi i okna były pootwierane. Nie było nikogo. Wszedłem do środka. Na stole w pokoju gościnnym przygotowano kawę dla dwóch osób. Zająłem do filiżanek — nie były jeszcze używane. Wszedłem do sypialni. Stały tam obok siebie dwa łóżka: jedno przykryte kapą, a na nim tuzin poduszek, drugie przykrywał kilim, jakby z godłem Finlandii. Nie znam się na kilimach, zawsze wydają mi się jakieś niewyraźne. Na ścianie wisiał przyniesiony z pokoju gościnnego portret kapitana. W tym miejscu, gdzie wisiał poprzedni, widniała jedynie ciemna, czworokątna plama. Uważałem, żeby nie znaleźć się w zasięgu jego wzroku. Potem wyszedłem na korytarz sądząc, że będzie naturalniej, jeżeli będę tam, gdyby ktoś nadszedł.

Z korytarza wiodły prosto na strych schody. Leżał na nich chodnik ze szmat podwinięty w połowie. Pomyślałem, że może ktoś mieszka na górze. Wszedłem po schodach i przy okazji poprawiłem chodnik. Cały strych był w trocinach, tylko na jego środku ułożono drewniany pomost szerokości trzech desek. Wiódł na tył strychu do zamkniętych drzwi. Przez dziurkę od klucza padała smużka światła wyglądająca jak wycelowana we mnie lufa karabinu. Otrząsnąłem z butów trociny i rozejrzałem się. Na bocznej ścianie były wysokie na piędź okna,

na których pająki utkały firany. Była tam najzwyklejsza rupieciarnia: około setki pustych butelek po alkoholu, pliki ■ szwedzkich i fińskich czasopism kobiecych, sanie z oparciem, narty i wielka butelka po płynie do mycia podłóg, ozdoba w każdym nowoczesnym domu fińskim.

Narobiłem wystarczająco dużo hałasu, żeby się przekonać, że nikogo tam nie ma. Wszedłby, żeby mnie zobaczyć. Otworzyłem jednak drzwi od pokoju i zdębiałem. Był to piękny pokój: białe tapety, podłoga, sufit, pomalowane na białe tak zwane meble kuchenne i białe zasłony na oknach. W białym łóżku leżała ubrana na biało białowłosa dziewczyna. Miała długie prążkowane spodnie. Na ścianę wisiał kolorowy plakat Beatlesów, mniej więcej dwa metry kwadratowe. Chłopcy grali z otwartymi ustami, Lennon i kumple. Wcześniej wylali na siebie chyba po tubce farby, bo kolory aż po nich spływały. Dziewczyna była szczupła i piękna. Nigdy przedtem jej nie widziałem. Na pewno matka ją tutaj uwięziła, żeby zachowywała się poprawnie. Leżała na plecach i czytała książkę. Widziałem jej nozdrza, miały kształt właśnie odrywających się kropel, długie i łukowate. Była boso i ruszała dużym palcem lewej nogi na znak, że mnie widzi. Kiedy uniosła nogę, przypadkowo zasłoniła *mi nim twarz. Miała długie palce u nóg i chyba to właśnie dodawało im uroku. Czy już nie dość ją opisałem? —• Nie zaczynaj opisywać jej duszy — powiedział Toivonen.

— Jeszcze mnie nie dotknęła.

— Odpowiedz, co było niżej.

— A co, nie mówiłem już?

— Opowiedziałeś o palcach u nóg i nosie.

Obydwie części były długie.

—■ Tak, to była piękna dziewczyna, wysoka i zgrabna, chociaż kiedy leżała, wyglądała na niższą. Chyba zauważyłeś, że kobieta robi wrażenie wyższej niż jest, kiedy siedzi i ma krót-

kie nogi. Ta nie miała, to była naprawdę przystojna kobieta.

— Oczywiście — stwierdził Toivonen. — Przystojna kobieta jest zawsze o głowę wyższa od mężczyzny.

Na dworze było słycać odgłosy rąbanego drewna. „Matka rąbie?“, zapytałem. „Jej pan szuka?“, odparła pytaniem. — „Jej, ale już nie szukam. Teraz znalazłem panią“, powiedziałem. „Gdzie?“. Była fajna, nigdy nie sądziłem, że aż tak fajna. „Co pani czyta?“. „Podręcznik do angielskiego“, odparła fajnie. Aha, pomyślałem. Dziewczyna jest nieco słaba w angielskim, musi tu siedzieć i uczyć się. Dziwiłem się matce, że nie poprosiła mnie o pomoc w tej nauce. „How do you do?“, zagadnąłem. Zamierzałem przejść na angielski, ale nie mogłem przestawić się tak od razu. „Przepraszam na chwilę“, powiedziałem i poszedłem zobaczyć, co się dzieje na podwórku.

Sierżant Nieminen rąbał polana. Miał niezwykle skuteczną technikę, nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś taką stosował. Biegał dla nabrania rozpędu i odbijał się z obydwu nóg przed uderzeniem. Jednocześnie stękał przy tym jak ciężarowiec, ale mimo to nie pierdział, tak to zazwyczaj bywa, gdy ciężar na sztandze osiąga granice rekordu Finlandii. Porąbał już wszystkie polana, z wyjątkiem dwóch, ale podejrzewałem, że jeszcze się za nie nie zabrał. W pewnej odległości, na odwróconym do góry dnem wiadrze siedziała mama. Wyglądała na zasmuconą, tak jak to z reguły piękna kobieta w średnim wieku.

Wróciłem do środka. Zauważyłem, że moje zainteresowanie tym domem nie było większe niż dziewięćdziesiąt penni, to jest -tyle, ile kosztuje fliżanka kawy i ciastko. „Ktoś inny rąbie moje drzewo“, stwierdziłem. Powiedziałem to raczej gorzko, na co zwróciła uwagę dziewczyny-

na. Siedziała bokiem na brzegu łóżka z założonymi nogami. Ładnie wyglądała w tej pozycji. Co pewien czas podnosiła pupę i odgarniała spod niej włosy. No może trochę przesadzam, ale naprawdę była piękna i miała styl. Są dwa rodzaje kobiet, które noszą długie spodnie: eleganckie kobiety i dziewczyny, które przywodzą na myśl lekcje higieny w szkole podstawowej. Ona była elegancka, tylko nie za bardzo wiem, w jaki sposób i dlaczego. Zaproponowałem krótki, wieczorny spacer. „Jaki krótki?“, zapytała. „Zupełnie krótki. Pani będzie siedziała, a ja pospaceruję dookoła“, odparłem. Chciało jej się śmiać, ale nie zrobiła tego, była zbyt dobrze wychowana. Założyła białe buty i przeciwsłoneczne okulary. Do ręki wzięła jedwabną, białą chustkę. Nie zawiązała jej na głowie, trzymała ją w ręce, pozwalając jej falować. Była lekka jak papierosowy dym, pachniała jednak lawendą. Uspokajała ją. Słońce już zaszło, więc na pewno nie wyszliśmy, żeby je podziwiać.

Matka i sierżant Nieminen żegnali się na schodach. Dolna warga kobiety była w ciągłym ruchu. Nieminen porąbał wszystkie polana. „To jest nic“ — chwalił się. „W Kon-tiolahti porąbałem za jednym zamachem pięć metrów sześciennych“. Chyba zorientował się, że posunął się trochę za daleko, bo dodał: „To znaczy przez jedno święto. Założyłem się“. Nie wiem, czy dzięki temu wzrosły jego akcje u matki, bo patrzyła zupełnie gdzie indziej. Nieminen puścił do mnie oko, klepnął mnie w ramię i plecy. Wyrażał swoją radość klepiąc innych, nie wiem, jak wyrażał smutek, ale pewnie walił siebie. Zachowywał się, jakby był pijany, chociaż nie był. Może był to wynik złego wychowania.

Rekruci zagadywali zza kiosku, -kiedy przechodziłem obok z dziewczyną. Kiedy się odwróciłem po czterystu metrach, to jeszcze wszyscy za nami patrzyli. Widzieli kawałek piękna, który zniknął w ich oczach, żeby w końcu zu-

pełnie skryć się w mroku letniego wieczoru. To boli.

Dziewczyna skręciła w tą samą leśną drogę, którą szedłem już tego wieczoru z ornitologami. Pomyślałem, że już najwyższy czas złapać ją za rękę, ale maszerowała tak szybko, że musiałem mocno wymachiwać swoimi rękoma, żeby za nią nadążyć. Takie młode kobiety mają zadziwiający 4alent do chodzenia. Są takie lekkie, że mogą z łatwością tupać cały dzień. Tylko chusta powiewała, zawsze w przeciwnym kierunku niż ręka, w której ją trzymała.

Zacząłem jej mówić o miłości utrzymując, że prawdziwa miłość istnieje, czemu sprzeciwiała się dziewczyna. Twierdziła, że mężczyźni zawsze zapewniają o miłości, dobrze jak jeden na dziesięciu kocha i to jeszcze na pewno nie tą, której to mówi. Powiedziałem jej, że nie zna mężczyzn. O dziwo, podczas tego zdania nie ugryzłem się w język, co uznałem za cud.

Postanowiłem opowiedzieć jej przypadek Jus-siego Multamaa i historię jego miłości, żeby ją nieco zabawić, bo bałem się, że nudzi się' w moim towarzystwie. Jussi był siedemdziesięcioletnim strażnikiem kolejowym na emeryturze. Zakochał się w trzydziestoletniej robotnicy tartacznej z Paloheimo. Miał dom za tartakiem i kiedy chodził na składowisko desek zabierał ścinki i trociny, zobaczył tę kobietę. Wtedy zaczął zbierać trociny w odświętnym garniturze, a jak poszedł się oświadczyć to zabrał wielką chustę i łańcuszek na szyję, tak jak to było wtedy w zwyczaju. Pierścionków miał sześć. Był dwukrotnie wdowcem. Nie dał tej kobiecie wszystkich, tylko ten, który najlepiej pasował jej na palec.

Wybranka zgodziła się. Ponieważ dom Jussiego znajdował się na granicy osady i gminy, ale bardziej po stronie gminy, więc i tam musiał się odbyć ślub. Droga wynosiło to około piętnastu kilometrów. Jussi wynajął autobus, żeby dowieźć na miejsce młodą parę i gości. Kiedy już było po ceremonii i wszyscy

wyszli z kościoła, Jussi złapał małżonkę za rękę i kazał jej biec, za sobą przez drogę do lasu. Długa ślubna suknia żony łopotała jak flaga, a tren zaczepiał się o gałęzie i krzaki. „Jussi, Jussi kochany, dokąd mnie ciągniesz?“, krzyczała. Goście weselni patrzyli na to z otwartymi ustami, a mężczyźni zaczęli robić oko, ale nie to od strony kościoła. Ponieważ młoda para jakoś nie wracała, goście wsiedli do autobusu i pojechali do domu Jussiego. Pan młody ciągnął za sobą żonę z dziesięć kilometrów. Znał system ścieżek wiodących do celu. Zatrzymali się na podwórku domu i wtedy Jussi powiedział: „Chyba rozumiesz. Żebyś nie myślała, że to jest tylko coś takiego, że się idzie do kościoła, gdzie ksiądz gada parę minut, potem jest się już w małżeństwie, idzie się do domu, pije kawę, coś je, a potem mieszkasz w tym domu, a kiedy umrę, dziedziczysz wszystko. To nie jest tak samo, jakbyś poszła rano do tartaku i wróciła wieczorem...”

Dziewczyna patrzyła na mnie zdziwiona i chyba zaczęła mnie uważać za prostaka. Ludowe przepowiedni nie robią już jednak takiego wrażenia jak kiedyś. Nagle odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę osady. „Nie mam zamiaru iść przez las dziesięciu kilometrów“, powiedziała. „To jakaś straszna pomyłka“, usiłowałem tłumaczyć, ale nie chciała słuchać. Próbowałem za nią biec, byłem jednak na to zbyt wstrząśnięty. Widziałem tylko, jak biel miga między drzewami.

Powlokłem się za nią aż do drzwi wejściowych, ale nie miałem odwagi wejść do środka. Byłem pewny, że się wygłupiłem, tylko nie wiedziałem jak bardzo. Nigdy nie wiadomo, dopóki inni nie powiedzą. Matka wisiała w oknie i poprosiła mnie na pogawędkę. Poszedłem. Dziewczyny nigdzie nie było widać. Siedzieliśmy z matką we dwoje w pokoju. Portret kapitana wrócił na ścianę pokoju gościnnego. „Czy pani mąż służy jeszcze?“, zapytałem. „Tak,

jest na bardzo długiej służbie, za granicą", odparła. Zrozumiałem i zamilkłem. Kiedy popatrzyłem na zdjęcie, spostrzegłem, że kapitan już nigdzie nie patrzy, ani wyżej, ani niżej, ani w bok, ani też nie wpatruje się w żaden punkt. Jego oczy nie wyrażały już nic. Zaczęła mi opowiadać, jak bardzo dziewczyna kochała ojca, była dla niego wszystkim. Przytakiwałem. Dobrze rozumiałem, kim może być dla ojca taka dziewczyna... Kobieta zaczęła opowiadać szczegóły. Chyba chciała mi wyjaśnić jej zachowanie tego wieczoru, żebym się nie dziwił. Kiedyś, gdy była mała, chciała mieć w środku lata gwiazdkę. Ojciec przyniósł z lasu choinkę, ubrał ją, a potem razem z córką odprawił gwiazdkę, w środku letniego dnia, w niedzielę przy zasuniętych zasłonach. Dziewczyna chciała żywego zająca. Ojciec widział takiego kiedyś w klatce na podwórku jakiegoś gospodarstwa podczas manewrów. Był to mały zajączek złapał przez kogoś na polu. Gospodarze mieli zamiar go wypuścić, gdy tylko wszystkie dzieci zdążą go obejrzeć. Kapitan chciał go kupić, ale właściciele nie zgadzali się, widać myśl o sprzedawaniu żywego zająca wydawała im się czymś dziwnym. Wtedy kapitan powiedział, że ma w domu córkę, która także chciałaby go obejrzeć. Dali mu zająca za darmo. Zabrał go szybko, żeby się czasem nie odmyślił. Trzymał zająca przez dwa tygodnie na obozie. Kiedy dziewczyna zobaczyła, że jest w klatce, zdenerwowała się na ojca i kazała mu go wypuścić. Poszedł do lasu i otworzył klatkę...

W pokoju ściemniało na tyle, że wydawało mi się, iż kobieta ma na sobie czarny płaszcz i żalobną woalkę, przez którą prześwitywały białe łyzy. Podniosłem się i ostrożnie wyszedłem. Nastrój zrobił się tak subtelny, że czułem się jak intruz. Pomyślałem, że nie pasuję do tego domu, pobrudziłem dywany i przeniosłem zapach koszar na zasłony. Zawiasy były

bardzo dobrze nasmarowane. Zwróciłem na to uwagę nieco później.

Doszedłem do wniosku, że koniecznie muszę pójść do dziewczyny, przeprosić ją za swoje głupkowane zachowanie i poinformować ją, jakie piękne myśli przed chwilą we mnie wzbudziła. Szedłem przez strych. Obydwoma rękoma otworzyłem drzwi. Dziewczyna leżała w łóżku na brzuchu i szlochała. Płakała bezgłośnie. Usiadłem na łóżku i powiedziałem, o czym rozmawiałem z matką. Odparła, że słyszała wszystko. Okna były pootwierane, a jej pokój jest dokła-nie nad pokojem gościnnym. Powtórzyłem jej wszystko. Potem objęła mnie rękoma za szyję i zaczęliśmy się całować. Jeszcze żadna kobieta nie całowała mnie tak jak ona; ssła na przemian moją dolną i górną wargę. Następnie wstała, rozebrała się i poprosiła, żebym zamknął okno, na dworze zrobiło się chłodno. Założyłem zasłonę między okno i ramę, żeby się nie otwierało, dzięki czemu nie musiałem się mocować z zamkiem. Poszliśmy do łóżka. Powiedziałem, że postanowiłem zostać oficerem, tak jak jej ojciec. Los zrządził jednak inaczej i to nawet bardzo szybko, ale tego jeszcze nie mogłem wiedzieć, dotarło to do mnie dopiero po tygodniu, kiedy się obudziłem. „Ile lat pani miała, gdy ojciec umarł?” zapytałem. „Dziewiętnaście”. Wyraziłem przypuszczenie że ojciec z pewnością przewidział ją dla kogoś odważnego, a nie dla tchórza. Przytaknęła głową. Też była odważna, nie stęknęła ani razu, zacisnęła tylko zęby, chociaż było jej nie wiadomo jak dobrze. Prześcieradło było śliskie i z trudem udało nam się wyjść z łóżka. Za obopólnym porozumieniem poszliśmy na strych w trociny. Zabrała pierzynę i prześcieradło. Pierzyna służyła nam za prześcieradło, a prześcieradło za przykrycie. Wymyśliłem tam taką zabawę, w którą się przedtem nie bawiłem. Byliśmy spoceni i moja skóra przylepiła się do jej skóry. Odlepia-

łem -ją milimetr po milimetrze, powoli i ostrożnie. Wdzierało się między nas chłodne powietrze. Rozbawiło ją to. „Zrastamy się”, powiedziała. Wydawało mi się, że kiedy leży na plecach nie ma piersi, wylaniały się dopiero, gdy się unosiła, a kiedy znowu opadała, znikały. To ci sztuczka. „Teraz cię już nigdy nie wypuszczę”, powiedziała zakładając nogi na krzyż za moimi plecami. Odparłem, że wcale nie chcę iść i rzeczywiście nie chciałem. „Jesteśmy zrośnięci, spróbuj się oderwać”, zaproponowała. Spróbowałem uklęknąć, udało mi się dopiero, kiedy wyteżyłem wszystkie siły. Była we mnie. Przewróciliśmy się z takim impetem, że aż trociny poleciały. Tym razem wpadła w zupełny szal: rzucała trocinami i kopła mnie piętami w tyłek, ile mogła. „Zabij mnie, zabij, możesz mnie zabić”, krzyczała. Robiłem, co mogłem, ale nie miałem wystarczająco ostrej broni. Wróciliśmy do pokoju. Tam otrzepałem swoją bielezną nasze ciała. Trociny dostały się nam też do włosów i wytrząsaliśmy je sobie nawzajem. Miała na sobie tylko srebrną jednomarkową monetę na białej tasiemce. Specjalnie dla tasiemki wywiercono w niej dziurę. Spróbowałem monety, smakowała jak srebro. Była trzecia. Miałem na sobie jedynie zegarek, na którym była trzecia. Zapaliliśmy papierosa, zaciągając się na zmianę. To była nasza najpiękniejsza chwila. Jednak zawsze warto brać ze sobą papierosy, gdy się idzie do dziewczyny. Nawet gdyby nie paliła i nienawidziła papierosów, to w takiej chwili kobieta potrafi palić niewiarygodnie pięknie. Tak, to było piękne. „Kiedy umarł pani ojciec?”, zapytałem nie wiedząc jeszcze, w jakie drzwi, prowadzące do rzeczywistości, kopnąłem. „Pięć lat temu”, odpowiedziała. Nie chciałem liczyć, ale mój umysł sam zmienił się w kalkulator i rzucił gotowy wynik. Miała dwadzieścia cztery lata. Wyglądała na tyle. Słońce rzucało pierwsze ciemnoczerwone promienie i rozlewało je na

białych ścianach. Postanowiłem sprawdzić moje obliczenia i dałem jej to zrobić, miałem do niej zaufanie. „W którym to było roku?“, zapytałem. „W pięćdziesiątym ósmym“. Policzyłem na jej palcach i wyszło mi dwadzieścia siedem. „Nie odchodź, nie możesz jeszcze iść“, powiedziała. Musiałem. Zacząłem się ubierać. Zaprowadziła mnie do okna i pokazała mi przez nie okno koszar. Było to jedyne okno, jakie widać było z miejsca, w którym staliśmy, w każdym bądź razie kiedy nie wiało. Wiatr mógł oczywiście odkryć jeszcze inne możliwości. „Kiedy wrócisz do koszar, pomachaj mi“. Obiecałem. W koszarach było chyba ze sto okien i o które chodziło, nie wiem. „Kiedy będę w domu, wywieszę w oknie białą bluzkę“, powiedziała. Potem poprosiła mnie o znaczek szkoły podoficerskiej na pamiątkę. Wyciągnąłem go i dałem jej. „Dostaniesz go wieczorem“ — obiecała. „Jesteś jedynym mężczyzną, który widział moje słabości“, dodała. „To nie była słabość, to odwaga“, zapewniłem ją. Dodałem jeszcze, że jest najodważniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Kłamałem, jak potrafiłem, bo nie chciałem w ostatniej chwili psuć nastroju. Może i ktoś widział odważniej-sze kobiety niż Florence Nightingale czy Mar-git Borg-Sundman, ale ja takich nie spotkałem. Odprowadziła mnie w takim stroju, w jakim była przez ostatnie godziny. Nie wyszła jednak na podwórze, pozostała w drzwiach. Stała tam w ślicznej pozycji z nieco uniesionym lewym kolanem i lewą ręką opartą na futrynie drzwi, prawą machała do mnie. Kiedy to robiła, błyszcząca jednomarkówka podskakiwała między jej piersiami jak mała złota rybka. Usiłowała przez nie przeskoczyć ale nie dawała rady, mimo że były małe i piękne. To było ostatnie zdjęcie w moim albumie. Potem widziałem już tylko czarną okładkę zapisaną po łacinie.

Wróciłem do koszar w bardzo kiepskiej formie. Poszedłem do łazienki i wypilem dwie bu-

telki wody kolońskiej kumpli. Następnie podszedłem do okna, żeby zobaczyć, czy widać stamtąd jej okno. Chociaż niesamowicie wysiłałem wzrok, nie widziałem żadnego innego tylko to, przez które patrzyłem. Wszedłem na parapet, żeby widzieć z wysoka. Spadłem.

— Miałeś od niej jakieś wiadomości? — zapytał Toivonen.

— Leżałem przez tydzień nieprzytomny w Niinisalo, a potem pewnej nocy przywieźli mnie tutaj. Czekali na słaby ruch, jechali bardzo wolno i cholernie ostrożnie. Bali się, żebym nie umarł w drodze. Sam się tego obawiałem i próbowałem o niczym nie myśleć. Później napisałem stąd do jednego kumpla, nazywał się Aalto, i był ze mną na kursie, z prośbą, żeby zabrał od dziewczyny ten znaczek szkoły podoficerskiej. Odpisał, że był u niej w tej sprawie, ale powiedziała, że nie przypomina sobie, żebym jej coś takiego dał. Napisał też, że widziano ją z pewnym chorążym. Znam go, nawet za dobrze. Byli na wyścigach konnych w Pori, czemu się wcale nie dziwię biorąc pod uwagę jego poziom umysłowy.

— Jednak dostałeś — powiedział Toivonen.

— Wszystko ci w ten sposób wynagrodziła. '—

Ale nie od matki.

— Córka była lepsza.

— A skąd ty to wiesz?

— Ogólnie są.

— Była doskonała. Wycisnęła mi zębami wszystkie pryszczki i ani razu nie zabolęło.

— No teraz to już opowiadacie świństwa — wtrącił Vahtoranta, który się obudził.

— Prawda, co do słowa — zapewnił Toivonen.

— Nic nie wiesz o życiu — stwierdził Elo-maa.

— Taka kobieta nauczyłaby cię tego w jedną noc.

— Spij — zakomenderował Toivonen.

— Myślicie, że łatwo znaleźć kobietę, która

da, jak się potrzebuje? — zapytał Vahtoranta. Mogę wam opowiedzieć.

— Nie opowiadaj — powstrzymał go Toivo-nen. Nie chcemy słuchać, tylko sami spróbować.

— Każdy by chciał — odparł Vahtoranta.

— Kobieta, która potrzebuje, dałaby nawet koledze syna z piaskownicy — powiedział To-ivonen.

— Jak zapłacisz, to ci sprowadzę — proponował Elomaa.

— Nie potrzebuję — odpowiedział Vahto-ranta.

— Gwarantuję ci. Zadzwoń pod dziesięć numerów i poproszę. Dwie na pewno przyjdą. Przed nazwiskiem musi być zawód, żadnego innego warunku nie stawiam.

— Dziwki.

— A co to, nie kobiety?

— Znajdź taką, której nie trzeba od razu wysyłać, żeby sobie umyła nogi.

— Masz rację — poparł go Elomaa.

— Tak było ze mną. Kazali mi znaleźć dwie kobiety, których nie trzeba od razu wysyłać do łazienki, żeby sobie umyły nogi.

— I co, kazali tobie, żebyś im umył? — zdziwił się Toivonen.

6.

Wiozłem pewnego pułkownika, nazwiska nie powiem. Właściwie to było ich trzech: ten pułkownik, major i kapitan. Zabrałem ich z Turku. Byli tam na wystawie rolniczej, która miała w programie także pokaz bojowy. Udał się tak bardzo, że już w Turku mieli taki podkład, że stawiali lewą nogę za prawą. Potrafili jednak świetnie trzymać fason i nikt by nie powiedział, że są pijani. Oficerowie mogą jednak wytrzymać, nigdy z góry nie wiadomo, kiedy się przewrócą.

Pułkownik i major usiedli z tyłu, a kapitan obok mnie. Ci, co siedzieli z tyłu, cholernie się pokłócili o przepisy w pozdrowianiu. Zaczęli się drzeć tak, że nie mogłem utrzymać samochodu na drodze. Pułkownik ryczał jak lew, a major odpowiadał mu: „Tak jest”, głosem tak potężnym, że spadła mu z głowy czapka. Pułkownik mówił byle co, a major odkrzykiwał: „Tak jest”. W końcu kapitan się zdenerwował i wrzasnął: „Cicho bądźcie!”. Myślał, że nie usłyszą, skoro sami tak się darli, że aż ich czasem strach ogarniał. Pech chciał, że major i pułkownik zrobili akurat przerwę dla nabrania oddechu. Od razu się obrazili. „Kapitanie, natychmiast opuści pan samochód”, rozkazał pułkownik. „Tak jest, panie pułkowniku”, odparł kapitan wyskakując na obydwie nogi i trzaskając drzwiczkami. „Proszę jechać”, powiedział następnie pułkownik. Ruszyłem bardzo wolno naprzód spodziewając się, że za chwilę pułkownik zacznie żałować i rozkaże jechać z powrotem. Kiedy wjechaliśmy na skraj lasu pułkownik powiedział: „Tak nie można. Zawracamy”. Nie można tam było zawrócić, bo bez przerwy nadjeżdżały z przeciwka samochody. Była sobota. Droga była dwupasmowa, po jednym pasie w każdym kierunku. Fakt, że zwoźniłem, okazał się dość niebez-

pieczny. Z przeciwnej strony zaczął wyprzedzać samochód, mimo że nie miał miejsca. Z naprzeciwka nadjeżdżały więc dwa samochody. „Jak też można tak jeździć”, pomstował pułkownik. Uspokoilem go mówiąc, że na tej drodze zmieszczą się nawet trzy obok siebie, ale wtedy wszyscy trzech kierowcy muszą mieć mocne nerwy. Jeszcze nie zdążyłem dokończyć, gdy znowu ktoś zaczął wyprzedzać ciągnąc za sobą następny samochód. Było to duże amerykańskie żelastwo. Ponieważ pierwszy nie mógł znaleźć miejsca, ten drugi zaczął go wyprzedzać. Chyba jego kierowca nie wierzył, że na tej drodze nie zmieszczą się trzy samochody obok siebie, bo miał szeroki przód. Ponadto miał tyle koni mechanicznych, że nie mógł czekać, tylko musiał szukać miejsca, choćby nie wiadomo jak daleko. W każdym bądź razie z naprzeciwka nadjeżdżały trzy samochody obok siebie na dwupasmowej jezdni. Było to niejako potwierdzenie moich słów, ale przecież nie twierdziłem, że przejadą obok siebie aż cztery. Zjechałem zupełnie na pobocze. To dolarowe żelastwo wyjechało przed samochód na czele i pojazdy utworzyły kwadrat. Kiedy nas minęły, wykręciłem szybko z powrotem na jezdnię. W czasie tego zdarzenia straciłem wycucie w rękach. „Co tam knujecie?”, spytał pułkownik. Na tylnym siedzeniu niczego nie zauważono, za co byłem im wdzięczny. Powoli jechałem dalej. Po czymś takim człowiek najchętniej jedzie wolno i ostrożnie. Szukałem stacji benzynowej albo bocznej drogi, żeby zawrócić, ale nigdy ich nie można znaleźć, jak trzeba. Za mało ich w Finlandii, żeby zadowolić wszystkich. W końcu przed jakimś sklepem udało mi się zawrócić. Sklepiarz natychmiast otworzył okno i krzyknął: „Czego tu chcecie!” Zaraz po zamknięciu zamków uważał podwórko za swoją własność. W drugim oknie stała żona i dzieci. Miał piękną żonę. Oni zresztą zawsze mają, bo żenią się z najładniejszymi ekspedient-

kami, mają wybór. Wszyscy sklepikarze mają ładne żony.

— Oficerowie też — wtrącił Elomaa.

— O ile nie żenią się z miłości — dodał To-ivonen.

W każdym razie zawróciłem i jechałem z powrotem w kierunku Turku. Bałem się, że kapitan zabrał się autostopem. Owszem próbowałem, ale wyciągałem kciuk raczej oszczędnie, a kiedy nadjeżdżał samochód, odwracałem się plecami i schylałem się, żeby sobie poprawić sznurowadła. Wstydziłem się. Przez pewien czas patrzyliśmy na jego sztuczki z drugiej strony szosy. Potem pułkownik zawołał przez uchylone drzwi. „Kapitanie, niech no pan tu na chwilę przyjdzie”. Kapitan przebiegł przez ulicę, otworzył drzwi i zapytał: „Co się stało panie pułkowniku?”. „A dokąd to się pan tak ni stąd ni zowąd wybrał?”, zagadnął go pułkownik. „Kazałem mi pan pułkownik opuścić samochód”, odparł. „Teraz rozkazuję panu usiąść na miejsce, zrozumiano?”. „Tak jest, panie pułkowniku!”, rzekł kapitan wsiadając do samochodu. Na jakimś skrzyżowaniu udało mi się zawrócić i jechałem jak najszybciej w kierunku Helsinek, żeby uniknąć podobnych zajść. „Nie zabrał się pan autostopem?”, zwrócił się do kapitana pułkownik. „Zabrałbym się i to wiele razy, ale nie miałem ochoty na mężczyzn” — odparł kapitan. Znowu byli najlepszymi przyjaciółmi i zgoda trwała aż do Helsinek, czyli mówiąc inaczej ci z tyłu zaraz zasnęli. Kapitan układał sobie na teczce pasjansa, a w Helsinkach obudził swoich szefów, za co byłem mu wdzięczny. Najchętniej nie przeszkadzam śpiącym oficerom, nigdy nie wiadomo, w jakim humorze się obudzą.

Pułkownikowi wpadło do głowy, że zanim się pożegnają, muszą wypić po kilka whisky w „Wieży”. Potem miałem ich rozwieźć do domów. Zajechałem pod „Wieżę” i zaparkowałem na rogu. Dostali się do środka. Mieli na sobie

mundury, a poza tym było bardzo spokojnie. Portierzy nie mieli nic innego do roboty, jak tylko wisieć sobie na wieszakach w szatni na haczykach ze zwiniętych palców. Z pewnością zaryczeli z radości, kiedy trzech facetów oddało im czapki. Była to piękna garderoba i na pewno ślicznie błyszczała w tym ciemnym korytarzu. Nie mogłem niestety tego widzieć, bo czekałem na nich w wozie. Lubię to zajęcie. Myślę, że przyjemnie jest czekać w samochodzie, szczególnie w piękny letni wieczór. Można stamtąd z całym spokojem patrzeć na kobiety. Kiedy nadchodzą z tyłu, widać je we wstecznym lusterku, kiedy nadchodzą z przodu to widać je przez szybę. Jest w tym jeszcze jedna przyjemna rzecz. Ich sylwetki odbijają się w szybach i nie mogą tego znieść, zawsze przystają, żeby się przejrzeć. Kiedy zauważą, że ktoś siedzi w wozie, to o mało nie wylatują w powietrze. Z samochodu widać kobiety z korzystnej dla nich pozycji obserwacyjnej; kiedy się na nie patrzy z dołu, to wydają się wyższe i mają dłuższe nogi niż w rzeczywistości. •

Oficerowie siedzieli tam trzy godziny. Próbowaliśmy zgadnąć, w jakim humorze wyjdą. Często są źli i zdenerwowani przez cywilów, którzy pchają się do ich stolika, żeby wypić kieliszek za bohaterów. Tym razem wychodzili w mocno zwartym szyku. Kapitan zatrzymał się, żeby dać portierowi napiwek. Monety upadły na ulicę i portier zbierał je z ziemi. Kapitana tak zdenerwowała jego niezdarność, że dał mu następny napiwek. Tym razem portier nadstawił obydwie ręce. „Do mojego mieszkania”, rozkazał pułkownik. Pojechałem na Rau-hankatu i zatrzymałem się przed drzwiami wejściowymi. Już w „Wieży” zaczęli rozmawiać o kobietach i tak zażarcie kontynuowali dyskusję, że nie zauważyli, kiedy dotarliśmy na miejsce. Dałem im pogadać, bo i tak nie wiedziałem, jak im przerwać. Mógłbym może puścić hamulec i auto potoczyłoby się w dół pa-

górką do morza. Niechcący nadusiłem klakson, czysty przypadek, ale korzystny. Zauważyli bowiem, gdzie są. Kiedy wysiedli z samochodu, pułkownik rozkazał mi sprowadzić dwie kobiety, których nie trzeba od razu wysyłać do łazienki, żeby sobie umyły nogi. „Żadnych ładacznic”, dodał jeszcze.

Przytrzymawszy oficerom drzwi wejściowe, wróciłem do samochodu i pomyślałem, czy za-oząć się teraz onanizować czy poczekać do wieczora. Potem w myślach zrobiłem przegląd wszystkich znajomych kobiet, które nie były moimi krewnymi. Nie było ich wiele. Myślałem o ekspedientkach, ale sklepy były już dawno pozamykane. Ruszyłem, bo nie miałem odwagi stać przed domem zbyt długo. Pułkownik mógłby to potraktować jako nieposłuszeństwo. Myślałem już, żeby zrezygnować z całej sprawy i pojechać do garażu, ale bałem się. Właściwie to nawet nie miałem na to ochoty. Musiałbym się potem zmienić w piechurę, a tak miałem piękny samochód, za darmo benzynę i na dodatek był sobotni wieczór. Pojeżdżę sobie po kątach, rozejrzę się *po* mieście, a potem wrócę i powiem, że nie udało mi się nic załatwić, myślałem. Wydawało mi się czymś kompletnie niemożliwym, żebym zdobył kobietę, nie mówiąc już o dwóch. Gdybym miał chociaż rozkaz pułkownika na piśmie, z jego podpisem...

— Możesz mi wierzyć, że łatwiej jest znaleźć dwie kobiety niż jedną — powiedział Elo-maa.

— Nie wiem, bo nigdy nie poderwałem nawet jednej.

— Jak są dwie, to się nie boją — wyjaśnił Elomaa.

—■ To wszystko zależy od szczęścia — wtrącił Toivonen. — Jak się za bardzo próbuje, to się nie udaje.

Pojechałem na nadbrzeżny bulwar Kaivo-puisto. Było tam mnóstwo ludzi podziwiających piękno wieczoru. Chłopcy i dziewczyny siedzieli na kamiennym murku, trzymając się za ręce. Nie zatrzymałem nawet samochodu, podziwiałem barwy wieczoru przejazdem. Stamtąd pojechałem do Hietalahti, kiedy zobaczyłem stocznię i statki od razu wiedziałem, że nie mam tu czego szukać. Miejscowe dziewczuchy czyszczą kotłownię, tłusty kurz węglowy tak je opatynował, że nawet kąpiel by im już nie pomogła. Szerokim łukiem zajechałem na most Seurasaari i zaparkowałem. Trochę bałem się policjantów pod mieszkaniem prezydenta. Pomyślałem, że gdyby prezydent wyszedł trochę sobie pobiegać, to musiałbym mu oddać honory. Gdyby mnie zapytał, co tu robię, to wystawiłbym jego poczucie humoru na ciężką próbę. Modliłem się, żeby nie wyszedł. Ruszyłem przejść się po moście. Są na nim boczne altanki, w których piesi mogą szukać schronienia, gdyby jakiemuś komendantowi wpadło do głowy wjechać na wyspę samochodem. Było sporo ludzi, ale albo starsze, albo młodsze pary. Na wyspie był teatr letni. Niestety przedstawienie już się zaczęło. Po chwili usłyszałem stamtąd krzyk: „O jej, ojej, ojej tak naprawdę nie można żyć!”. W końcu wyszły stamtąd dwie bardzo czysto wyglądające młode kobiety. Przystanąły w sąsiedniej altance, oparły się o balustradę i patrzyły w wodę. Było tak spokojnie, że widziałem w tafli ich odbicia, dzięki czemu mogłem dokonać wnikliwych oględzin. „Dobry wieczór”, powiedziałem. Rozejrzały się dookoła, żeby zobaczyć, kto powiedział. Jedna z nich miała okulary, może były studentkami. Zmieszałem się przez te okulary, pomyślałem, że kobiety, jakich szukam, nie używają czegoś takiego. Spokojnie wróciłem do samochodu. W jego oknach przeglądały się dwie ko-bilety. „No co, pojedziemy?”, zapytałem. Popatrzyły na mnie taksująco chociaż raczej po-

winy przyjrzeć się i zmierzyć tych oficerów. „Tym razem chyba nie”, odparły. Powiedziałem, że o ile się teraz nie zdecydują, to drugi raz się chyba nie zdarzy. „Trzech facetów na Rauhantaku robi imprezę i potrzebują damskiego towarzystwa, dwóch kobiet”, wyjaśniłem. „Co to za faceci?”, zapytały jakby złośliwie. „Jeden pułkownik, major i kapitan”. Popatrzyły na mnie cynicznie. „Są dobre płyty?”, zapytała jedna z nich. „Nie ma”, odparłem. „Jest tylko Marsz Pori i Finlandia”. Gapiły się na mnie z zamkniętymi ustami i chyba pomyślały, że jestem kopnięty. Szybko wsiadłem do samochodu i pojechałem. Z jakiegoś powodu zaczęłem się bać, że na siłę będą chciały jechać.

Pojechałem do wesołego miasteczka. Jakies pół kilometra od bramy znalazłem miejsce i zaparkowałem wóz. Stamtąd ruszyłem pieszo do wejścia. Był przed nim tłum ludzi czekających na znajomych albo przyjaciół, żeby razem wejść do środka. W takim tłumie próżno było kogoś szukać, zmieniał się bez przerwy. Strasznie zachciało mi się wejść do środka. Byłem tam kiedyś rzucić w pannę wodną. Do diabła. Była to pulchna, jasna kukła. Wydawało mi się, że z jakiegoś powodu mnie nie lubi, kiedy celowałem, patrzyła mi ze złością w oczy. Chciała mnie chyba nastraszyć, żebym nie trafił. Przewróciłem ją za pierwszym rzutem. Przewrócisz się, myślałem wpatrując się w jej oczy, a nie w pręt, w który trzeba było celować. Za drugim razem też padła. Rzuciłem dokładnie wtedy, gdy ponownie siadała podciągana przez swego szefa albo jeszcze trochę wcześniej. To był psychologiczny chwyt. Nie była jeszcze przygotowana na upadek. Gdy ją przewróciłem także w dwóch następnym rzutach, wszyscy dookoła zaczęli mnie uważać za cudotwórcę. Ostatnia piłka trafiła dokładnie w pręt, ale dziewczyna nie przewróciła się. Kibice zaczęli krzyczeć, że mnie oszukano, ale i

tak nie dostałem nowej kolejki. Jakiś facet wykupił mi nowe rzuty i poprosił, żebym rzucał w dziewczynę obok. Sam próbowałem, ale nie trafił ani razu. Ta była z kolei mała, ciemna i wyglądała tak grzecznie, że nie trafiłem. „Cholera”, zaklął facet. Wszyscy chcieli teraz strącić tę jasną. Widać nie lubiła tego i nadal patrzyła ze złością. Usiłowała wykiwać wszystkich tym wzrokiem, żeby nie trafiali, ale i tak jakiś głupek ją strącił. Dziwna historia.

Dwie kobiety w średnim wieku ciągle stały przy wejściu. Prawdopodobnie czekały, aż jacyś frajerzy wezmą je ze sobą. Miały farbowane włosy obsypane dodatkowo złotym proszkiem. Chyba dostrzegły, że się im przyglądam, bo zaczęły patrzeć na mnie. Nie mogłem tego wytrzymać, podszedłem do nich, zasalutowałem i powiedziałem, że trzech oficerów czeka na nie w apartamencie na Rauhankatu. „Samochód stoi kawałek stąd, jeżeli paniom to odpowiada, to mogę tam zawieźć”. Były cholernie ciekawskie. Wiele razy pytały, co to za oficerowie i jak się nazywają, czego im oczywiście nie powiedziałem. „Pułkownik, major i kapitan”, powtarzałem. „Też sknia za rozwijającym damskim towarzystwem”. Sąsiedzi obok zainteresowali się sprawą i zapytali, o co chodzi. („Szuka cywilizowanego towarzystwa kobiece-’ go dla oficerów”, ryknęły obydwie. Zaczęło mi się zdawać, że zaproszenie dotarło do zbyt wielu osób. Szybko przeprosiłem i zacząłem się przedzierać przez tłum. Patrzyli za mną wszyscy tak, jakbym miał na plecach splawiki od ich wędek. Wsiadłem do samochodu i zrobiłem sobie trzy minuty przerwy w ciszy. Straciłem odwagę i nie mogłem nawet spojrzeć w lusterko. Do jasnej cholery, jak się szybko jedzie, to wraca odwaga. Nacisnąłem gaz i podjechałem do bramy, czekając aż będę mógł wjechać na jezdnię. Dwóch młodych facetów zagadywało te babki. Opowiadali tak czarująco, że ko-

biety o mało nie przewróciły się. Na szczęście stały na rozstawionych nogach, z palcami do środka, dzięki czemu udawało im się utrzymać równowagę. Nigdy bym nie potrafił tak gadać, sądzę, że oficerowie również nie. Armia nie daje sobie rady w takich gadkach. Mówi się tam zbyt rzadko i w dodatku z takimi przerwami między słowami, że nie robi to żadnego wrażenia, o ile oczywiście nie odegra się przedtem Marszu Pori i nie każe przemaszerować na miejsce batalionowi z ciężkim sprzętem.

Pojechałem na Plac Dworcowy, zaparkowałem samochód i wszedłem do tunelu. Był pełen ludzi. Podeszło do mnie dwóch mężczyzn w średnim wieku, żeby pogadać. Właściwie to nie miałem ochoty. Byli jeszcze w strojach roboczych z upapranymi cementem butami, obydwaj mocno ożywieni. „A co, może nie?“, zapytał jeden z nich. „Co?“, zdziwiłem się. „Że dziecinna ta nasza dzisiejsza armia“. Domyślałem się, co może nastąpić. „Jak ja byłem w wojsku, to w całej brigadzie nie było butów. Całą zimę ćwiczyliśmy w skarpetkach“. „To chyba wygodniej?“, odparłem. „Czy, do cholery, nie rozumiesz, że nawet obuwia nie było, cholera“. Bałem się, że mnie rąbnie, co wydawało mi się dość niesprawiedliwe, bo byłem przecież zwykłym żołnierzem i w dodatku na służbie. Musiałem być dla nich miły. „No, co“ — ryknął ten cjrugi tak, że roznosiło się po całym tunelu. Obawiałem się, że nadejdą policjanci. Takiego nie-^{*} bezpieczeństwa jednak nie było, bo o tym czasie rzadko słyhać niehumanitarne wrzaski pijanych, a w tunelu to wcale. „Jedne drewniaki były na całą drużynę, tylko, gdy trzeba było wyjść na zewnątrz, a dawaliśmy tyle nawozu, że trzeba było. Ćwiczenia terenowe mieliśmy na korytarzu i w salach, a poranny bieg po schodach. Czy teraz też jest coś takiego?“ „Rozumiesz?“, zapytał ten drugi patrząc mi w oczy z odległości pięciu centymetrów. Z całej siły powstrzymywałem mrugnienie, żeby mnie nie roz-

darł na kawałki. „Tak, rozumiem“, powiedziałem. „Inaczej było podczas wojny w Kuopio“, zaczął ten, co się we mnie wpatrywał, nie spuszczać ze mnie oczu. Wystawił mnie na ciężką próbę. Czekał oczywiście, aż zrobię jakąś minę, a wtedy na pewno połamałby mi kości. „Po posiłku musieliśmy podbiegać pod hałdę z piachu, żeby się nam jedzenie ułożyło. W przeciwnym razie mogłoby, cholera, zostać w ustach. Każdy musiał wbiec na górę. Ten, kto był pierwszy, miał tę przewagę, że nie przysypywał go lawina piasku z góry. Sierzanci strzelali z pistoletów pod nogi, żeby wyrównać szeregi. Schudłem szesnaście kilo, ale na szczęście nie zachorowałem na płuca tak jak inni. Przy każdej wieczornej modlitwie czytali nam przysięgę na wierność Wielkiej Finlandii. Czy teraz jest coś takiego?“ „Nie ma“, odpowiedziałem. Mocno ich to uradowało i walnęli mnie parę razy pięścią w plecy.

Jeżeli w tunelu nie znajdę kobiet, to już chyba nigdzie, myślałem. Potem przypomniałem sobie o ciziach z restauracji. Podjechałem pod aptekę uniwersytecką i wysiadłem z wozu. Ponieważ był sobotni wieczór, do restauracji nie wpuszczano ani grup złożonych z samych kobiet, ani też pojedynczych pań. Niektóre jednak wchodziły i wtedy portierzy unosili przed nimi kciuk do góry. Nadeszły dwie wspaniałe damy, którym nigdy nie odważyłbym się niczego zaproponować, no ale oczywiście podszedłem do nich, żeby porozmawiać. Kiedy zauważyłem, jakie są, zamurowało mnie. Zapomniałem, gdzie jestem, kim jestem i kim one są. W końcu udało mi się jakimś sposobem do końca powiedzieć, o co chodzi. Chyba nawet się rozplakałem. Obydwie miały koło czterdziestki i długie, zgrabne nogi. Poprawiały palcami fałdy i zmarszczki na garderobie, tak jakby moja mowa je deformowała. Miały po dwa gładkie pierścionki i wyglądały na damy ze śmietanki, które przyjechały z Vaasa do

Helsinek, żeby obejrzeć spódniczki w oknach •wystawowych domów mody. Płaszczce miały obszyte na dole jakimś futrem, spod którego wystawały trzy milimetry spódnicy. Chyba nawet pułkownik byłby zadowolony z takiej dokładności. Byłem pewien, że nigdzie nie pójda, ale i tak byłem z siebie dumny. Przedstawiłem sprawę bardzo eleganckim kobietom i nawet gdyby nie przyszły, oficerowie nie mogą mieć żadnych powodów do narzekań. „Idziemy do Vaakuny”, powiedziała teższa z nich. „Czeka tam na nas dwóch niemieckich bussinesmenów. Mamy do omówienia pewne interesy”, wyjaśniła szczuplejsza. Miała diabelnie długą szyję. „Tylko na krótko”, namawiałem. „Która godzina”, zapytała ta z długą szyją. „Wpół do dziewiątej”, odparłem. Nie wiem, skąd o tym wiedziałem, bo wcale nie miałem ze sobą zegarka. Trzymałem go w schowku w samochodzie. Nigdy nie miałem go na ręce podczas jazdy, bo odbijał promienie słoneczne na tylne siedzenie, co przeszkadzało pułkownikowi. „Co to za pułkownik?”, zapytała ta grubsza. Muszę sprostować, że chociaż była grubsza niż ta druga, to szczególnie gruba jednak nie była. W pasie była wcięta jak Zatoka Północna, a tylko miejscami była pełna. Powiedziałem nazwisko i dwa imiona. Wzbudziło to ich zaufanie. Imię zawsze brzmi pewnie, w końcu nadaje je ksiądz. „Właściwie to tak bardzo nie chce mi się iść do Vaakuny”, powiedziała ta grubsza. „Nie są zbyt ciekawi. To są Niemcy”, dodała ta z długą szyją. Otworzyłem drzwi samochodu. Na progu grubsza zdjęła buty z nóg. Miała dalece rozwiniętą technikę, bo spódnica w ogóle nie uniosła jej się na biodrach. Co najmniej z dziesięciu facetów stanęło obok na chodniku, żeby popatrzeć. Wszystko tylko dla małego pokazu pończoch.

W czasie jazdy dalej wypytywały o oficerów. Mówiłem, a raczej próbowałem mówić tylko pozytywy, chociaż nie za bardzo wiedziałem,

co jest pozytywne, a co negatywne. W każdym bądź razie odmłodziłem ich o co najmniej dziesięć lat. „Wódka szybko postarza”, stwierdziła ta grubsza. Zdziwiłem się, skąd o tym wiedziała.

Siedząc na miękkich siedzeniach ścierpły i musiały się trochę pogimnastykować na chodniku. Wyginały korpusy i wyciągały łydki do tyłu sprawdzając, czy szwy pończoch są na miejscu i dają prostą linię. Widać było, że nie pierwszy raz wybierają się na taką imprezę. Podbiegłem, żeby przytrzymać im drzwi wejściowe. Potem podałem im numer mieszkania i ruszyłem schodami na górę. Doszedłem do wniosku, że wieść musi być na miejscu wcześniej niż zdobycz. Kobiety jednak krzyknęły na mnie, musiałem zejść i zażądały, żebym jechał z nimi. Wsiadłem do windy i zdjąłem czapkę. Nie wiem, czy żołnierze zwykle je zdejmują, ja w każdym bądź razie tak zrobiłem. Przeglądały się w lustrze i poprawiały makijaż. Wyglądały strasznie, kiedy rozciągały usta, i robiły miny; kobiety potrafią grać. Grubsza zrobiła na lustrze mały krzyżyk szminką, chciała chyba w ten sposób oznaczyć trasę powrotu. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, otworzyłem drzwi windy. Wyszły z niej jak księżniczki i rozglądały się po okolicy. Nadusiłem na dzwonek. Ze środka dochodził straszny hałas, wszyscy mówili naraz, kapitan chyba nawet po niemiecku. Pułkownik próbował go uciszyć i wrzasnął na całe gardło: „Stój!”. Dzwoniłem na przemian krótko i długo, aż w środku zrobiło się cicho. Trwało to dosyć długo i już myślałem, że może zrezygnowali. Potem zaczęły trzaskać drzwi i pospiesznie spuszczano wodę. Powiedziałem do kobiet: „To musi trochę potrwać, bo mieszkanie jest bardzo duże”. Po chwili kapitan otworzył drzwi. Trzymał głowę pod kranem i kapoło mu z włosów. Patrzył okrągłymi oczami na kobiety, a one na niego. Pułkownik i major stali obok siebie w kory-

tarzu jak bracia i w strasznym pośpiechu pożerali jakieś zakąski. Może były to pigułki na odświeżenie oddechu albo takie, które czynią człowieka sympatyczniejszym. Kobiety weszły do środka długimi krokami, jak jelenie i udały się do pokoju gościnnego. Tam nastąpiło powitanie. Major, kiedy nadeszła jego kolej, pocałował je w ręce. Na ten widok pułkownik zaczął gryźć pięść. Kobiety usiadły na kanapie i lukiem założyły nogę na nogę — jednocześnie podniosły spódnicę pięć centymetrów wyżej — zwykły odruch. Poszedłem do kuchni i usiadłem. Pułkownik zaczął szukać szklanek. Kiedy je wyjmował z półki, cała szafa drżała. Kapitan przyszedł do kuchni po wodę do rozcieńczenia whisky. Wziął porcelanowy dzban od mleka, nalał do niego wody z kranu i butelkę ginu. „Zróbcie lodu” — powiedział do mnie. Zużyli już wszystko. Pusty pojemnik leżał na parapecie. Napełniłem go i wsadziłem do zamrażalnika.

Major zaczął demonstrować tej z długą szyją system dowodzenia ogniem artyleryjskim. Rysował długopisem na obrusie. Obejrzałem to później. Pułkownik dotrzymywał towarzystwa tej grubszej, opowiadając jej wszystko o swoich dzieciach. Nikt nie bawił kapitana. Kiedy próbował coś wtrącić, major zbeształ go oschle: „Jesteście pijani”. Kapitan przyszedł do kuchni i zgrzytał zębami: „Czy już pan przyniósł wodę sodową?”. „Nikt nie kazał przynieść”, odpowiedziałem. „Chce pan być arogancki?”, zapytał. Wziąłem z wieszaka klucz. Był na długiej, białej tasiemce, taki dziecięcy klucz, który nosi się na szyi. Kapitan dał mi trzy marki.

Nie wziąłem samochodu, poszedłem pieszo. Długo musiałem się naszukać, zanim znalazłem. Był to mały, nowoczesny bar. Walnąłem w drzwi, sądząc, że jest już zamknięty. Był otwarty, cholera. „Myślałem, że już zamknięty”, powiedziałem do dziewczyny za ladą. Uśmiech-

nęła się przebiegle. Była w bluzce z krótkim rękawem i na prawym nadgarstku, po wewnętrznej stronie miała duży ślad po ugryzieniu. „Kto panią ugryzł w rękę?“, zapytałem. Zacerwieniła się i odparła: „Pies“. Po chwili wszedł do baru drugi klient, młody gość w czarnej czapce ze skóry przypominający trochę Erwina Goodmana. Wziął ze stołu solniczkę, wytrząsnął na siebie jej zawartość i powiedział: „Soli, więcej soli“. Rozbawiło to dziewczynę tak, że się zwinęła i złapała za brzuch. Nie wybuchnęła jednak śmiechem. Kupiłem butelkę wody sodowej i powiedziałem dobranoc. Do klamki uwiązany był na smyczy wielki, czarny do?. Przepuścił mnie, kiedy mu pokazałam butelkę. Gdy spojrzałem do środka przez okno, facet trzymał dziewczynę zębami za nos. Odszedłem jakieś dziesięć metrów, a wtedy dziewczyna i ten gość wyszli z baru. Facet spuścił psa, który łypnął tylko ślepiami i ruszył. Zrobiło mi się spieszno, ale wiedziałem, że kiedy pies zaczyna gonić, to trzeba się zachowywać zupełnie spokojnie. Wypadła mi z ręki butelka i kiedy próbowałem ją złapać w powietrzu, to zrobiły się z niej trzy. Po ulicy posypało się szkło. No nic, pomyślałem, nie będę tędy przez parę dni jeździł. Pies odwrócił się. Zadowolili się tym, że przez niego zbiłem butelkę.

Dziewczyna zaczęła szcuć psem, wskazując palcem tego faceta: „Uskii, Uskii“. On robił to samo, pokazując na dziewczynę. Nagle ona wdrapała się na jego plecy i napuszczała psa stamtąd. W ten sposób się bawili. Zaczęło mi się wydawać, że jeżeli to jeszcze trochę potrwa, to pies straci cierpliwość. Nie pomyliłem się. Odwróciłem się i ruszyłem dalej. Kiedy zrobiłem pierwszy krok, poczułem go za sobą. Wiedziałem, że się na mnie rzuci. Próbowałem zdążyć do pierwszego narożnika i skrócić, chociaż nie wiedziałem, co mi to pomoże. Pies miał diabelsko dobrą technikę, najpierw pozbawił

mnie butelki, żebym nie miał go czym rąbnąć. Nie był to chyba piękny widok, jak żołnierz ucieka przed psem, ale czy byłby piękniejszy, gdybym się rzucił na psa? Z czym miałem się na niego rzucić? Prawie jednocześnie dotarliśmy do rogu. Pies przeleciał, a mnie udało się skręcić. Bydlę przyjęło pozycję wyjściową i skierowało wzrok na moje gardło. Próbowałem mu patrzeć prosto w ślepia i przezornie podniosłem kołnierz. Patrzyliśmy tak w siebie dobrą minutę. Zaczął drapać pazurami asfalt, chyba kopał sobie dołki startowe. Ja z kolei próbowałem palcami odłamać kawałek betonu ze ściany. Nagle pies położył się na brzuchu wsadził pysk między łapy, przymrużył jedno oko i zamachał ogonem. Próbował mnie nabrać. Czekał, żebym ruszył dalej i odwrócił się do niego plecami. Taki głupi to nie byłem. Facet i dziewczyna wyszli z za rogu, co ośmieliło mnie na tyle, że odwróciłem się do nich tyłem, a wtedy pies złapał mnie za nogawkę. Nie przejąłem się tym i próbowałem iść bohatersko naprzód, chociaż wymagało to mnóstwo wysiłku. Pies cały czas wisiał u mojej nogawki i zapierał się z całej siły wszystkimi czterema łapami. Miał poczucie humoru i postanowił zabawić swoich właścicieli, rozumiałem to. Facet nadszedł mi z pomocą i próbował odciągnąć go za pysk, ale zwierzę dostało szczękoscisku. „Chyba nie ugryzł?”, zapytał. Nie miałem zamiaru odpowiadać na tak prymitywne pytanie. W końcu facet zmądrzał na tyle, że złapał psa za ogon i zaczął mu zakładać smycz. Pies uspokoił się, puścił mnie i zaczął kręcić się w kółko. Ruszyłem w drogę, próbując wymyślić jakieś zdanie na pożegnanie, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Kapitana definitywnie usunięto z towarzystwa. Siedział w czapce na głowie w kuchni i mrucał: „Te świnię”. W końcu powiedział: „Niech mnie pan zawiezie do domu”. Pozostali siedzieli w pokoju na kanapie, panie w środku.

Puste butelki i szklanki poukładali rzędkiem na stole tak, że się dotykały. Pułkownik kopał butem w nogę stołu, a butelki szklanki dzwoniły o siebie. W ten sposób sobie przygrywali.

Kapitan mieszkał na Lautasaari. Zawiozłem go tam. Przez cały czas mruczał: „Eleganckich kobiet nie traktuje się w ten sposób, jeżeli to jest elegancka kobieta. Jeżeli pozwala się tak traktować, to nie jest elegancka kobieta tylko dziwka, a z taką oficer się nie zadaje. Czyli to była dziwka”. Nie mówił tego do mnie, tylko cytował tajne dodatki podręcznika dla oficerów. Żona kapitana siedziała w bujanym fotelu i czytała powieść Lyttkensa. Nie podniosła wzroku znad książki, widocznie trafiła akurat na bardzo interesujący fragment. Kapitan zabrał mnie do mieszkania, chciał chyba udowodnić w ten sposób, że był na służbie. „Możecie odejść”, powiedział potem. „Tak jest, panie kapitanie”, stuknąłem żywo obcasami i wyszedłem. Kiedy otwierałem samochód, zobaczyłem, że pani domu stoi w kącie balkonu podparta pod boki. Kapitan zaglądał w czapce przez drzwi i mówił: Hei Heidi, Heidi, hei, hei Heidi, Heidi hei...”

Kiedy wróciłem do mieszkania, pułkownik i ta grubsza dama przyrządzali kanapki. Zdjęła buty z nóg, o ile nie zrobił tego pułkownik. Na stole leżało masło, salami i pszenny chleb. Pułkownik otworzył puszkę śledzi i namawiał, żeby je położyć na chleb, ale kobieta sprzeciwiała się mówiąc: „Nie na pszenny”. Major wyjaśniał w pokoju tej z długą szyją działanie artylerii po wykonaniu zadań przez grupę ogniową. „Gdy jest mgła i pada deszcz, czyli jak się czasem mówi w literaturze brzydka pogoda, to pociski artyleryjskie lecą dalej niż wtedy, gdy jest pogodnie. Mogłoby się wydawać, że sprawa ma się odwrotnie, że jak jest piękna pogoda, to granaty lecą dalej, ale akurat jest na odwrót. Kiedy jest brzydko i wilgotno ciśnienie powietrza jest niższe i opór mniejszy”.

Tyle to ja też się nauczyłem. Pułkownik stał za tą grubszą i dmuchał jej na szyję. Z jakiegoś powodu zapalił się do jej karku. Wziął puszkę od śledzi i wylał jej zawartość na plecy kobiety. Był to czyn wyraźnie zamierzony, bo na końcu jeszcze dobrze wytrząsnął resztki. Spodziewał się chyba, że wskutek tego zdejmie spódnicę. Zdjęła, opłukała pod kranem, a następnie poszła do łazienki wymyć ją dokładnie. Pułkownik szedł za nią i przeproszał. „Tego nigdy panu nie wybaczę”, powtarzała. Major posunął się o tyle naprzód, że zaczął głaskać kolana i łydki tej z długą szyją. „Czuję się nie najlepiej” powiedziała. Major zaraz wykorzystał tę informację i zaczął ją głaskać pod pończochą. Tego było już jej za wiele i zaczęła wydymać policzki. Major zaciągnął ją na balkon, gdzie zwymiotowała. Zrobiła to tam, bo chyba nie miała odwagi rzygać przez okno na ulicę. Major wciągnął ją z powrotem, żeby się nie zaziębiła, a następnie zaprowadził do sypialni, zamykając za sobą drzwi. Pułkownik i ta grubsza doszli w łazience do jakiegoś porozumienia. Wrócili do pokoju gościnnego, pułkownik nalał i wypili z tej okazji po drinku. Następnie złapał ją za szyję i próbował na jej bieliznę wylać whisky. Była błyszcząca, luksusowa. Nie miał chyba innej techniki, kiedy chciał żeby kobieta się rozebrała, jak tylko brudzić jej ubranie. Tym razem się nie udało i wszystko poleciało na dywan. „Ma pani piękną figurę”, powiedział potem, na co kobieta dumnie wypięła pierś. Major wrócił z sypialni i złapał się oparcia kanapy. Ruszał głową jak na meczu tenisowym patrząc po kolei na obydwój. „Obejrzę je”, powiedział pułkownik. „Nie obejrzy pan”, odparła. „Obejrzę, o ile się pani założy?”, „Nie obejrzy pan”, upierała się kobieta. Pułkownik złapał obydwoma rękoma jej dekolt i jednym pociągnięciem rozdarł go. Następnie rzucił się na biustonosz i przedarł go na dwie części. Trzeba przyznać, że miał siłę

w rękach. Kobieta patrzyła na to z otwartymi ustami. „Co to jest?“, zapytała. „Co to ma znaczyć?“, powtórzyła. Wyraźnie nie była na bieżąco. W tym momencie major spróbował stanąć na baczność, czego nie powinien był robić, stracił bowiem równowagę i wyleciał do przedpokoju. Tam zaczął się mocować z drzwiami wyjściowymi. Przestraszył się i próbował uciec. W końcu udało mu się je otworzyć i wyjść na korytarz, ale kiedy zaczął je zamykać, to przez pomyłkę znalazł się ponownie w mieszkaniu. Chyba mu się wydawało, że jest gdzie indziej, bo zaszutował i powiedział: „Dobry wieczór“. Potem sobie przypomniał i wyszedł. „Czy nie mógłby mi pan przynieść szklanki wody?“, poprosiła spokojnym głosem kobieta. Tak po prostu bez żadnego przygotowania. „Czy może mi pan przynieść szklanek wody?“, ponowiła prośbę. Potrafiła się obchodzić z mężczyznami, zresztą żołnierzami jest łatwo komenderować. Pułkownik poszedł do kuchni, nabrał wody i wrócił ze szklanką do pokoju. Usiadł na kanapie. „Gdzie są wszyscy?“, zdziwił się. Kobieta poszła do łazienki i zamknęła się na klucz. Rzucił szklanek, nie zbiła się, potoczyła się po podłodze. Następnie skierował się do sypialni. Poszedłem za nim, w razie gdyby potrzebował pomocy. Postanowiłem mu chociaż odpiąć kołnierzyk, żeby się nie udusił. Ta z długą szyją leżała sobie swobodnie na podłodze i chrapała. „No tak“, powiedział pułkownik, siadając na brzegu łóżka. Ściągnąłem mu buty z nóg. Potem wyciągnął się jak długi i zasnął tak szybko, że ledwie zdążył powiedzieć: „Hmm“. Z łazienki wróciła ta grubsza dziwiąc się z kolei, gdzie się wszyscy podziali. Wskazałem jej drogę do sypialni. Kiedy zobaczyła na podłodze koleżankę, wybuchnęła śmiechem. Zaczęła ją budzić, łaskocząc ją palcem nogi pod nosem, ale tamta machnęła tylko ręką i powiedziała: „Idźcie do diabła“. Grubsza położyła się w drugim łóżku i nakryła kołdrą.

Poszedłem do kuchni, wyciągnąłem z lodówki butelkę piwa i wypilem do dna. Też musiałem trochę nagrzeszyć. Bożej co za noc. To chyba tytuł jakiegoś filmu fińskiego. Następnie poszedłem do pokoju gościnnego, pospać na kanapie. Kiedy się obudziłem, to wieczorne piwo o mało wpadło mi w drugą dziurkę na widok pułkownika. „Vahtoranta, znikniecie stąd w ciągu pięciu sekund. Jasne?“, spytał. „Czy mam odwieźć te panie?“, zapytałem. „Nie“, odparł. Potem wszedł do sypialni i zarzycał: „Wstawać. Pobudka! To nie jest żaden dom wypoczynkowy!“. Po chwili kobiety wypadły z sypialni do pokoju obciągając spódnice. „Proszę się na nas nie wydzierać“, powiedziała ta grubsza. „Jesteśmy przecież cywilizowanymi ludźmi“, dodała ta z długą szyją. „Proszę się ubierać. Za minutę dzwonię po taksówkę“, zakomenderował pułkownik. Zamknąłem za sobą drzwi i wyszedłem na ulicę. Odjechałem samochodem za najbliższy róg i zacząłem się, żeby popatrzeć. Taksówka przyjechała natychmiast, ale pułkownik i kobiety zeszli dopiero po dziesięciu minutach. Zapłacił taksówkarzowi i trzasnął drzwiami. Nikt nie pomachał mu białą rączką przez szybę samochodu, w każdym razie ja nie widziałem.

— Sumiennie wypełniłeś rozkazy przełożonego — powiedział Toivonen.

— Jutro założą ten gips — stwierdził Vahto-ranta.

— To nie boli — pocieszył go Elomaa. — O ile się włosy nie przylepią.

— Zgola je — powiedział Vahtoranta.

Wziąłem Kellera i poszedłem do łazienki.

Nie chciałem wychodzić w trakcie opowieści, żeby nie pomyśleli, że słuchałem.

7. •

Łazienka była obok pokoju pielęgniarek jedynym pomieszczeniem, w którym przez całą noc paliło się światło. Stał w niej przy oknie Hurmę i wyglądał. Może wydawało mu się, że z łazienki jest bliżej do jego dziewczyny, chociaż i tak nie wiedział, gdzie ona jest. Okno było zamknięte na klucz, a klucz w szafie sprzątaczkii, też pod kluczem. Obawiano się, żeby pacjenci nie wyskakiwali przez nie. Zdarzały się już takie przypadki. Właśnie w tej łazience pewien generał-major, kiedy się dowiedział, że ma raka żołądka, zastrzelił się. „Mnie nie zeżre“, powiedział w swoim pokoju, a następnie wziął pod pachę elektryczną maszynkę do golenia i poszedł do łazienki. W futerale od maszynki miał pistolet. Okno było pomalowane na białe. Jussila siedział na sedesie, drzwi ubikacji miał otwarte. Czytał Biblię i chciał mieć spokój. Usiadłem na brzegu wanny 3 zabrałem się za Kellera. Postanowiłem przeczytać go do końca w szpitalu, książka była jego własnością i nie mogłem jej zabrać do domu. Byłem na początku drugiej części, przeczytałem jakieś sto stron. Przyszedł Elomaa.

— Masz stąd kontakt wzrokowy z narzeczoną? — zapytał Hurmego.

— Chyba ty masz — odparł Hurmę i wyszedł.

— Co czytasz? — zapytał mnie Elomaa.

Pokazałem mu okładkę książki. Tekst był

pisany frakturą, książkę wydrukowano w 1946 i Niemcy nie zdążyli jeszcze zupełnie przestawić się na antykwę. Używali starych maszyn.

— *Der Grune Heinrich* — przeliterował. —

Nie czytaj starych gówien, oczy sobie popsu jesz. Pożycz mi tę książkę — zwrócił się na stepnie do Jussili. — Daj zaraz, zrobię próbę na chybił trafił. Chyba nie słyszałeś, żeby ktoś ukradł Biblię?

Jussila podał mu Biblię, w książce była długa,

czerwona, jedwabna zakładka, którą wsadził w to miejsce, gdzie czytał. Elomaa z zamkniętymi oczami otworzył ją i palcem wybrał na otwartej stronie miejsce.

— „A ziemia stała się własnością surowego człowieka i tylko wysocy godnością mogli na niej mieszkać” — przeczytał Elomaa oddając książkę. — Próbowales kiedyś takiego sposobu?

— Znikaj, zostaw mnie w spokoju — powiedział Jussila.

Do łazienki wszedł sierżant łączności.

— Nie możesz zasnąć? — zapytał go Elomaa.

— Nawet nie próbowałem — odparł. — A więc alkohol miał wpływ na to zdarzenie?

— Na co? — zdziwił się Elomaa.

— Na to wypadnięcie z okna.

— No chyba przyjemniej jest wypaść po pijanemu niż na trzeźwo — odparł Elomaa, odwrócił się i wymaszerował z łazienki.

Po chwili ruszył Jussila. Stracił potrzebny do czytania spokój. Sierżant łączności zapalił papierosa. Nie wolno tam było palić, ale nie miałem ochoty mu o tym przypominać. Wyszedłem.

Okolo dziesiątej przyszedł lekarz na obchód. Koskinen szła za nim i zapisywała wszystkie polecenia. Mer ją niosła teczkę z papierami i zdjęciami rentgenowskimi. Pullukka pchała wózek z instrumentami.

— Aha, to dzisiaj kolej na tę nogę? — zapytał lekarz Rossiego.

— Tak — odparła Koskinen.

Lekarz skinął do mnie głową. Potem obejrzał kciuk Toivonena.

— Otworzymy po południu.

Elomaa też otrzymał skinienie głową. Lekarz przeszedł na drugi koniec sali i zatrzymał się przed Jussila.

— No, obejrzymy tę łopatkę. Niech pan się

odwróci, tak, żeby plecy były skierowane w stronę okna.

Jussila zdjął bluzę pidżamy i podkoszulkę. Koskinen zerwała mu z pleców bandaż. Jussila miał próchnicę kości w łopacie. Była w niej dziura. Lekarz wziął z wózka skrobak i złapał go jak łopatę. Potem wsadził go w dziurę i zaczął drapać. Jussila wydał policzki. Na twarzy zrobił się zupełnie żółty, ale zaczął się trząść na całym ciele dopiero, kiedy lekarz odwrócił się do niego plecami. Upuścił narzędzie na wózek, że aż zabrzęczało i poszedł do Lindqvista. Na Jussilę nie spojrział nawet mimochodem.

— Sit ner* — powiedział — obejrzymy ranę.

Koskinen złapała pacjenta obydwoma rękoma za głowę. Nagle rozluźniła chwyt, zdjęła z lewej ręki pierścionki i czerwieniąc się wsadziła je do kieszeni fartucha. Lekarz usiadł za Lindqvistem na łóżku i pincetami podnosił brzeży rany. Była na czubku głowy i dlatego miał wygolone włosy. Koskinen pozostała przy Lindqvistcie, żeby założyć mu opatrunek. Przyciskała jego głowę do swoich piersi. Spoglądał spod brwi, jak przez szparę w płycie nagrobkowej. Lekarz był już u Vahtoranty, który leżał gotowy w łóżku. Zdjął spodnie. Złamana łydka wyglądała na cienką i była żółta.

— No, tak — powiedział lekarz, kładąc prawe kolano na łóżku. Obydwoma rękoma złapał za nogę: pod kolanem i za goleń, czyli z obydwu stron złamania jednak możliwie daleko od niego. Noga wyginała się w miejscu złamania, co było widać z pięciu metrów.

— Może boleć — ostrzegł lekarz. Odpoczął chwilę wycierając pot w rękaw. Koskinen podała mu jakąś szmatkę. Znowu zaczął gnać nogę, próbował znaleźć właściwy rytm, który tak jak przy rzucie dałby mu najwięcej siły.

— Złamiemy ją — powiedział w końcu. -

* szw. „Usiądź”.

Jutro będziemy łamać i wsadzimy śruby, żeby się nie wyginała. Będzie jeszcze silniejsza niż ta druga.

Kiedy lekarz odwrócił się już plecami, Vah-toranta wybuchnął płaczem. Próbował go powstrzymać, zakrywając twarz rękami. Z jego ust wydobywał się tylko szloch, tak jakby płakała kobieta, bardziej męskie głosy zatrzymywał w sobie.

— Dzisiaj pan wyjdzie — powiedział lekarz do Hurmego. — Niech pan w najbliższym czasie nie jeździ konno.

— Nie ma tam koni wyścigowych — odparł Hurmę. Zbladł.

— Niech pan nie jeździ na żadnych koniach.

— Nie będę, panie pułkowniku.

Miał nadciągnięty bok.

— Niech pan pozdrowi ojca, jak go pan zobaczy.

Hurmę skinął głową. Nie potrafił mówić o ojcu po wojskowemu. Ojciec był przecież cywilem.

— Plecy prosto. Niech pan stoi tak, jak za wsze stał fiński mężczyzna — powiedział lekarz do Hollantiego.

Chorzy na wyrostek mieli tendencje do zginania się w przód.

Lekarz popatrzył jeszcze raz po sali, a potem wyszedł ze zdecydowanym wyrazem na twarzy. Pospieszyła za nim Koskinen, a depcząc jej po piętach Merja. Pullukka pchająca wózek wychodziła na końcu. Tak ścisnęła się w pasie, że wyglądała, jakby nic nie ważyła i jakby nie działała na nią siła przyciągania ziemskiego. To chyba wszystko dzięki temu, że tak ciasno zawiązywała pasek.

— Możesz być szczęśliwy — powiedział Elo-maa do Hurmego.

— Sam sobie bądź — odparł Hurmę.

Koskinen i jeszcze któraś z pielęgniarek wprowadziły z korytarza nowego pacjenta. Czekał tam w czasie obchodu lekarza. Leżał w łóżku

na kółkach. Był taki długi, że nogi wystawały mu do połowy łydek. Za łóżkiem siedł młodszy sierżant, pod pachami miał komiksy-prywatną własność nowego pacjenta. Zajął łóżko Hur-mego, wcześniej Merja i Pulukka wytrzepały na balkonie materace i zmieniły prześcieradła. Merja poszła po odkręcane poręcze, a następnie zamocowała je wraz z Koskinen. Facet miał rude włosy, mniej więcej miesięczne.

— Niech panowie zachowują się teraz grzecznie — powiedziała Koskinen.

Facet podniósł się na łóżku przy pomocy oparcia i patrzył ze zmarszczonymi brwiami po obecnych. Miał ospowata, starą twarz.

— O co chodzi? — zapytał go Elomaa.

— Szwej — odparł facet.

— Mylisz się — powiedział Elomaa.

— Rozwaliliśmy sobie głowy, że aż łomotało — opowiadał młodszy sierżant. Byliśmy szoferami i mieliśmy zwozić kamienie, ale nastąpił wybuch. Staliśmy jakieś trzysta metrów stamtąd, gdy spadły nam na głowę. Jesteśmy na poziomie trzyletniego dziecka i czytamy komiksy z Kaczorem Donaldem, ale nikomu ich nie pożyczamy.

— A ten nie umie mówić? — zapytał Elomaa.

— Owszem, umiemy mówić, ale nie zawsze nam się chce.

— Długo tego pilnujesz?

— ■ Tydzień. Wieczorem przyjedzie Anttinen, robimy to na zmianę.

— Nie powinieneś zmieniać zajęcia — stwierdził Elomaa.

— Jeszcze wszystkiego nie widziałeś. Potem będziesz mógł coś powiedzieć.

Młodszy sierżant miał blaszany znaczek batalionu helsińskiego. Był stamtąd, co było już widać po gębie. Wszyscy wysyłają tam takich ludzi, na których już sami nie mogą patrzeć.

— Mam pompon z kciuka — powiedział Toivonen unosząc palec do góry.

Facet zaczął się w niego wpatrywać.

— Czego się gapisz? Masz coś do rozdania?
— Tanę — powiedział facet.
— Co? — zapytał Toivonen.
— Tanę — powtórzył rudzielec.
— Nie jestem.
— Teraz jesteś, znamy cię bardzo dobrze —
powiedział młodszy sierżant.
— Do cholery nie jestem — upierał się Toi-vonen.
— Nie wypieraj się. Jak byliśmy mali, to nas
przewróciłeś na klatce schodowej. Zaraz sobie tę sprawę
wyjaśnimy. Dostaniesz dobrze po mordzie.
— Idź do diabła — powiedział Toivonen.
— W podstawówce siedzieliśmy w tej samej ławce.
— O cholera — jęknął Toivonen.
Mer ja przyniosła rzeczy Rossiego i zaczęła go
ubierać. Przez pół roku zrobiły się trochę ciasne.
Przyniosła także niepotrzebny but, żeby nie psuć pary.
Krzywą igłą zaszyła pustą nogawkę spodni.
Toivonen wziął ze stolika paczkę papierosów i
pudełko zapalek.
— Odłóż to z powrotem —■ powiedział rudzielec.
— Idę na papierosa — wyjaśnił Toivonen.
— Nigdzie nie pójdziesz.
— To jest mój stolik, masz własny obok. —■ Nagle
Toivonen przypomniał sobie o kciuku i zaczął go
oglądać z bliska.
Na salę weszła Koskinen.
— Mamusiu — powiedział rudzielec.
— Owszem jestem mamusią, ale nie twoją — odparła
Koskinen.
— Daj mi to — poprosił wskazując na znaczek, który
miała na piersi.
— Nie można go oderwać. Jest przyszyty do fartucha
— wyjaśniła Koskinen zbliżając się do faceta.
— Cholera — zaklął rudzielec.
— Niech pani nie podchodzi zbyt blisko —

ostrzegł młodszy sierżant rozgrzewając energicznie palec.

— A co mi zrobi?

— Nie wiem. Może panią pociągnąć za włosy. Chociaż nie wiadomo, czy zdoła. To zależy od fryzury.

— A moja niedobra? — zapytała Koskinen.

— Dobra, dobra, ale nie wiem, czy za taką pociągnie.

— Niech pan nie gada głupstw — powiedziała Koskinen.

Rudzielec zaczął przelazic przez poręcz łóżka i udało mu się, chociaż młodszy sierżant wciągał go z całej siły z powrotem. Wyglądało to tak, jakby próbował toczyć wielki kamień. Kiedy rudzielec znalazł się już na podłodze, można było ocenić jego rozmiary: miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i potężnie zbudowane ciało.

— Przydałyby się wyższe poręcze — zauważył młodszy sierżant.

Rudzielec odepchnął go obydwoma rękami tak, że wylądował za plecami Lindqvista, na jego łóżku.

— Fórlat — powiedział Lindqvist, podnosząc głowę. Było to chyba pierwsze słowo, jakie wypowiedział w tym domu.

Młodszy sierżant ztazł z łóżka, stanął za rudzielca, złapał go rękoma za łokcie, a kolanami uderzył go w zgięcie kolan. Rudzielec upadł. Sierżant nie pozwolił mu się podnieść.

— Nie ma pan właściwego podejścia. Trzeba psychologicznie — skomentowała Koskinen.

— Jorma, teraz zachowujemy się jak idioci. Wskakuj do łóżka — powiedział młodszy sierżant do rudzielca.

Wszedł posłusznie do łóżka.

— Czy on naprawdę taki zły? — zapytała Koskinen. — Mówili, że jest spokojny.

— Tak, tak jesteśmy spokojni, nie zaczynaliśmy bójki, tylko parę razy. To chyba po-

dróż tak działa na nerwy — wyjaśnił młodszy sierżant.

Koskinen wyszła.

— Hurmę już wyszedł? — zapytał Elomaa. Nie przyszedł się nawet pożegnać.

— Teraz czytamy Kaczora Donalda — zakomenderował młodszy sierżant podając rudzielcowi komiks. Sam wziął „Valitut palat” i zaczął czytać oparłszy się o ścianę.

— Masz narzeczoną — zapytał Toivonen rudzielca.

— Jesteśmy zaręczeni — odparł młodszy sierżant. Pierścionek jest u matki, żebyśmy go nie zgubili.

— O cholera — zaklął Toivonen. — Idę na papierosa.

— Nie pójdziesz — zaraz wtrącił rudzielec.

— Jak będziesz taki, to cię narzeczona zostawi.

— Nie bój się, znajdziemy kobiety — powiedział młodszy sierżant. — Mamy listę życzeń, piętnaście nazwisk. Sophia Loren jest na drugim miejscu.

— A kto jest ostatni? — zapytał Toivonen.

— O ile mnie pamięć nie myli to Georg Ots.

— Wierzę wam. Mogę już iść na papierosa.

Mer ją przyprowadziła Rossiego z

Fundacji

dla Inwalidów. Chłopak miał protezę, ale nie potrafił jej używać. Noga zawsze była w przodzie, a proteza ślizgała się po całej podłodze.

— Zdejmij ją — powiedział chłopak.

— Poczekaj, aż przyjdzie Koskinen — odparła Mer ja. — To nie jest prawdziwa proteza. To jest tylko po to, żebyś się przyzwyczaił do samej myśli, ślizga się po podłodze, powinien być dywan, żebyś mógł ćwiczyć. Nie bój się, jeszcze się nauczysz chodzić.

— Nie nauczę się — odparł chłopak.

— Nie gadaj tak, skoro tak długo na nią czekałeś.

— Nie czekałem — upierał się Rossi.

— Oczywiście, że na początku to się wydaje zupełnie niemożliwe, ale po pewnym czasie idzie już bardzo dobrze. Pewnie, że z tym są zupełnie inne problemy, niż kiedy chodzi się na własnych nogach... — próbowała tłumaczyć Merja.

Na salę weszła Koskinen.

— Stracił już cierpliwość — wyjaśniła Merja.

— Oczywiście, na początku wydaje się to zupełnie niemożliwe. To jest tak, jak uczyć się jeździć na rowerze. Też na początku wydaje się to niemożliwe, człowiek myśli, że nigdy się nie nauczy, ale kiedy już umie, to sądzi, że to nie jest żadna sztuka — powiedziała Koskinen.

Merja zaczęła rozbierać chłopaka i zdjęła protezę. Jeden z rzemieni do przymocowywania kończył się gdzieś na wysokości łokcia. Była bardzo prymitywna i nawet przy kolanie nie miała nic innego tylko szeroki skórzany rękaw. Merja położyła protezę starannie na łóżku w nogach. Chłopak skopnął ją na podłogę.

— Nie rób tak — powiedziała Merja. — Może się zepsuć.

— Nie może — odpowiedział Rossi.

— Wszystko może się zepsuć — odparła.

— Z wyjątkiem tego, co już jest zepsute — zauważył Elomaa.

— Ty wiesz o tym najlepiej — odcięła Merja.

Rudzielec wyszedł z łóżka i zaczął pięścią walić w ścianę. Co chwilę głaskał ją obydwoma rękoma tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć. Zasięg miał rzeczywiście spory.

— Już do łóżka — rozkazał młodszy sierżant.

— Idę na strych — odparł.

— Tu nie ma żadnego strychu.

— Jest — upierał się rudzielec.

— Którędy tam pójdziesz, jak go nie ma?

— Idę.

— No to idź — powiedział w końcu młodszy

sierżant. — Idziemy na strych. Tu są drzwi, w tej ścianie, tylko nie możemy ich znaleźć. Rudzielec miał wątpliwości co do jednego miejsca. Drapał je paznokciem, myślał, że to brzeg drzwi.

— Proszę teraz wrócić do łóżka — powie działa Koskinen, biegnąc jednocześnie po sali.

— Idę na strych.

— Tak, pójdzie pan tam — zapewniła Koskinen. — Jutro pan pójdzie. Naprawdę, nie kłamie.

Złapała go za rękę i zmusiła, żeby wszedł do łóżka. Potem ruszyła na obchód innych sal.

— Zabiorą go jutro do czubków? — zapytał Elomaa młodszego sierżanta.

— Jak słyszałeś.

— Cholernie ponure miejsce — stwierdził Elomaa.

— Taak, to mój ostatni dzień — powiedział młodszy sierżant.

— Tam mają swoich strażników. Jeszcze mogę zatęsknić do tych dni.

— Chyba nie — powątpiewał Elomaa.

— Co ci dolega? — zapytał go młodszy sierżant.

— Spadłem na głowę- z drugiego piętra w Niinisalo.

— Coś ty! Nigdy nie byłem w Niinisalo — powiedział młodszy sierżant. *jb*

—■ I nie jedź tam, to raczej^jrucha okolica.



